ŚWIAT

CENA 1 ZŁ.

Nr. 39 26. IX. 1936

Mrs. Beryl Markham pierwsza kobieta, która samotnie przeleciała nad Atlantykiem z Anglji do Ameryki. Twierdzi ona, że swą sprawność fizyczną zawdzięcza konnej jeździe, którą codzień z zapałem uprawia.



Podczas ostatniego przejazdu przez Paryż Ramsay'a MacDonalda witali delegaci do Genewy z Paul - Boncourem na czele, obok min. Daladier i b. minister Simon.

Paul - Boncour wyjechał do Genewy, MacDonalda zastąpił syn jego Malcolm.

ŚWIAT

REDAKTOR NACZELNY LEON CHRZANOWSKI

ROK XXXI. Nr. 39 — 26. IX. 1936

L. CHRZANOWSKI

GENEWA RADZI

Chmury.

Burza?

Obrazowo moglibyśmy wiele określeń znaleźć dla zilustrowania obecnych obrad w Genewie.

Pozornie wszystko jest po dawnemu. Ministrowie zjeżdżają się. Delegaci odszukują starych znajomych, badają kto jest, a kogo niema w delegacjach. Personalja przecież tyle znaczą w Genewie! To więcej niż program posiedzeń Rady i Zgromadzenia.

Co się tyczy programu, to niemal wszyscy zgadzają się, że jest on bylejaki. Wiadomo, że gros zagadnień, to rozmowy, pertraktacje w salonach, kuluarach, gabinetach sekretarjatu. Sekretarz generalny Ligi Avenol, po swoim powrocie z Rzymu był optymistą, a tu masz — spadł mu z nieba Negus Haile Selassie, a komisja weryfikacyjna nie „odwaliła" odrazu Abisynji. Przeciwnie, jej decyzja, jej propozycje Hagi wytworzyły sytuację trudną dla Włoch.

Zmora nieprzemyślanej akcji abisyńskiej w roku zeszłym znowu zjawiła się nad Lemanem. Tylko, że dziś Abisynja, to ciężki wyrzut sumienia, to podbity naród, zdetronizowany król, to ruiny spowodowane odrzuceniem projektu kompromisu, opracowanego niecały rok temu przez dwuch odważnych i przezornych mężów stanu: Lavala i sir Hoare'a.

Ileż gromów padło na nich w kuluarach Ligi, na całym świecie.

A dziś z melancholijnym uśmiechem przypominają sobie dyplomaci tę inicjatywę. Okazało się, że właśnie, ci trzeźwi, przezorni politycy *byli najszczerszymi przyjaciółmi Abisynji!* Gdyby ich kompromis wszedł był w życie, Abisynja okrojona w autorytecie i terytorjum istniałaby, jej cesarz nie tułałby się po świecie i nie *dopraszał się* o hotelowy dach w Genewie!

Gębacze dyplomatyczni, wrogowie Włoch decydowali wówczas i dziś Abisynja, jak się mówi w Genewie — ma swój eden. Ale, niestety, nawet wytworny, pewien siebie minister - kapitan opuścił „czarnych braci", nie stać go nawet na angielski plasterek pociechy.

Dziś narady i rozmowy po ostatnich decyzjach i mowach niemieckich toczą się dookoła wzmożonego powszechnego niebezpieczeństwa. Tak jest, po 18 latach pokoju! — Nie utrwalenie bezpieczeństwa, lecz zapobieżenie niebezpieczeństwu jest tematem obrad i konferencji.

To jest ta zasadnicza sprawa, która wszystkie inne na porządku dziennym zapisane odsuwa w cień.

Nic więc dziwnego, że ciężka atmosfera panuje nad Lemanem, że nawiązywane kontakty zmierzają w jednym celu. Cel ten, to zahamowanie wojny.

Dla zgromadzonej tu dyplomacji jest w nim wyrok potępienia, a prowadzenie takiej akcji ma posmak niemal tragiczny.

Wojna, do której gorączkowo szykuje się jeden naród może zostać w sferze koszmarów, może się nie zrealizować tylko o ile tu w Genewie, szczerze decydujące sfery świata staną przeciw niej ręka w rękę.

Przeszłość powinna być nauką!

Ale cóż w tej przeszłości dostrzegamy: błąd za błędem!

Gdzie są rezultaty Strezy? Gdzie pokój powszechny? Przecież to dopiero 18 miesięcy temu, jak Niemcy wypowiedziały traktat, odrzuciły obowiązki klauzul militarnych traktatu Wersalskiego!

Przecież tak niedawno jeszcze część Europy posiadała pozory pokoju w gwarancjach paktu reńskiego. Przecież te gwarancje Niemcy darły jedną po drugiej, a zainteresowane stolice świata milczały! Przecież właśnie na tle dyskusji abisyńskiej rozszczepiono gwarantów zachodnich Lokarna! W tę szczelinę jaka zarysowała się między Włochami, Anglją i Francją, Niemcy umiejętnie wsunęły swe postulaty, zadania, pertraktacje, wbijały kliny rywalizacji i dziś... dziś w gruzach leżą pakty, a aljansy są więcej niż nadwątlone.

Aby te błędy naprawić, aby ten stan rzeczy zmienić, tegoroczne Zgromadzenie Ligi wielce się nadaje. Nowe niebezpieczeństwo, nowa łuna, która od strony Hiszpanji bije w Europę, to jeszcze jedna okoliczność co grozę wzmaga i przybliża.

POŁÓW PEREŁ

Przez zieloną granicę

Najzupełniej rozumiemy ostre zarządzenia dewizowe rządu, zmierzające do utrudnienia wywozu pieniędzy polskich — i niepolskich — zagranicę. Nawet uważalibyśmy za słuszne — przy pewnem rozluźnieniu rygorów dla ludzi pracujących na „niwie umysłowej" — obostrzenie rygorów dla niektórych innych.

Dlaczego? Dlatego, że ci z „niwy umysłowej" *wywożą* naogół finansowe i tak djablo skromne — a *wwożą* potem, wróciwszy z zagranicy, nabytki nader ważkie, chociaż do zważenia na granicy celnej trudne: wwożą mianowicie nowe wrażenia, moc obserwacyj, świeże myśli, słowem — całe góry „drożdży umysłowych", któremi się potem zaczynia ciasto ich twórczości. A to są walory — cokolwiekby o tem myślał mąż stanu — nieposlednie. I niezniszczalne (jeżeli rzeczywiście solidne).

Więc tym tam z wytartemi łokciami literatom i profesorom, którzy muszą dla dobra swej pracy rozszerzać swe horyzonty — nieco liberalizmu możnaby przyznać — bez uszczerbku dla Ojczyzny. Nawet może dla tej Ojczyzny — z korzyścią.

Ale są inni.

Naprzykład nalogowcy Sopoccy...

Walą koleją, autami, rowerami, łodziami, autobusami i per pedes apostolorum, na co kogo stać. Walą — tylko poto, aby zbójecką sopocką jaskinię wzbogacić. I władze nasze na to pozwalają... Wprawdzie nie w wysokości nieograniczonej — ale jeszcze o wiele zbyt liberalnej, jak na naszą nędzę.

Dość rozejrzeć się po kasynie w Sopotach, aby się przekonać, że żyje ono — z polskich złociszów. Ten luksus możnaby z pożytkiem skasować.

W jaki sposób? No, od świetnych pomysłów aż się przecież roi w naszych urzędach — niechże sobie i z tym przemytem poradzą.



Nie wszystko bywa na sprzedaż

Król angielski Edward VII był w serdecznej przyjaźni z wybitnym dyplomatą portugalskim, markizem de Soveral, który przez długie lata pełnił funkcje ambasadora Portugalji w Londynie. Markiz był z tego powodu postacią bardzo popularną w stolicy Anglji i zyskał sobie nawet przyjacielski przydomek „Błękitnej małpy". Wybitny ten dyplomata umiał w ciągu swego pobytu w Anglji wiele zdziałać dla swej ojczyzny, korzystając z życzliwości Edwarda VII. Jednak nigdy nie wyzyskiwał monarszej przyjaźni dla celów osobistych.

Tak było za życia króla — tak było i po jego śmierci.

Po zgonie Edwarda VII zjawił się natychmiast u markiza de Soveral przedstawiciel jednego z najbogatszych dzienników amerykańskich, prosząc ambasadora o napisanie pamiętników, poświęconych życiu intymnemu zmarłego monarchy. Niedyskretny yankes położył przed dyplomatą czek in blanco, mówiąc: „Proszę, niech pan wypisze sumę, jaka się panu będzie podobała".

De Soveral wziął czek z obrzydzeniem w dwa palce, rzucił niedbale do ognia płonącego na kominku, poczem wstał i wskazał natrętowi drzwi ze słowami:

„Mam zaszczyt pożegnać pana".

Groch o ścianę

„Cywilny" obywatel musi słuchać rozporządzenia władz. I słusznie. Porządeczek musi być. Ale dlaczego rozporządzenia władz *wyższych* bywają bezceremonjalnie ignorowane przez instancje *niższe?*

Dawno już ukazało się rozporządzenie władz centralnych, że należności skarbowe do 20 groszy ulegają automatycznie umorzeniu. Bo stwierdzono nareszcie — co płatnik wiedział już dawno — że koszty ściągania tak „olbrzymiej" sumy są wyższe, niż sama, pożal się Boże, należność.

I cóż?

Czytamy w „Gońcu Warszawskim" wiadomość z Katowic:

„Jeden z mieszkańców Tarnowskich Gór otrzymał wezwanie wpłacenia na rzecz Śląskiej Izby Rolniczej składki za rok 1936 w wysokości 7 gr. Do tej sumy doliczone już koszty administracyjne wynoszą 7 razy tyle, co sama opłata.

Ale to jeszcze nie wszystko. Magistrat miasta Tarnowskich Gór, przesyłając to wezwanie, nadmienił, że w wypadku, gdyby wymieniona kwota nie została wpłacona w oznaczonym terminie, będą wdrożone kroki egzekucyjne, co pociągnie za sobą dalsze poważne koszty."

Groch o ścianę...

Szkot się mści

Amerykanin zwiedza Szkocję. Na spacerze mówi do niego pewien szkot: „Niech pan spojrzy — jaki piękny pociąg".

„Owszem — odpowiada yankes — ale u nas w Stanach pociągi są dwa razy większe".

Szkot milczy dłuższą chwilę. Poczem stwierdza mijając jakiś dom: „Wspaniały gmach, nieprawdaż?"

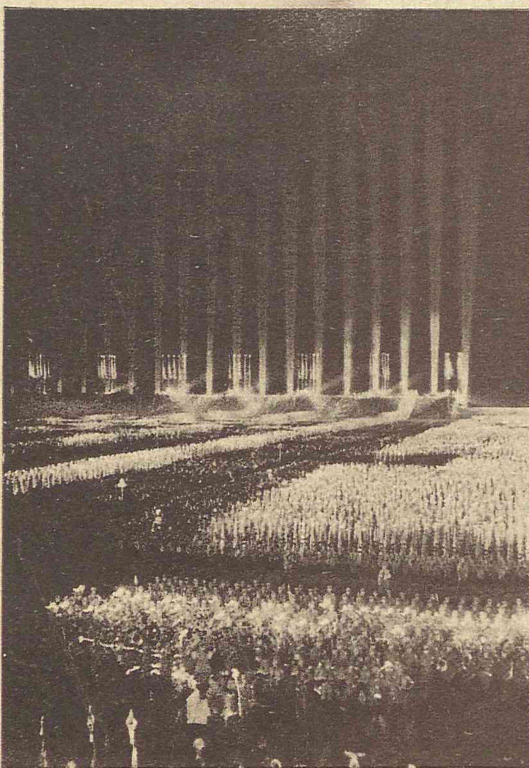
„No tak, przytakuje amerykanin — tylko, że u nas mamy takich gmachów setki i są dziesięć razy większe".

„Nie wątpię — szkot na to uprzejmie — bo to właśnie jest szpital dla umysłowo chorych"...

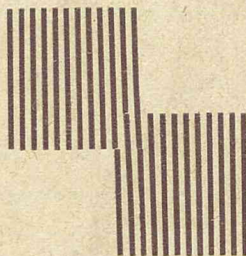
Uparty nurek

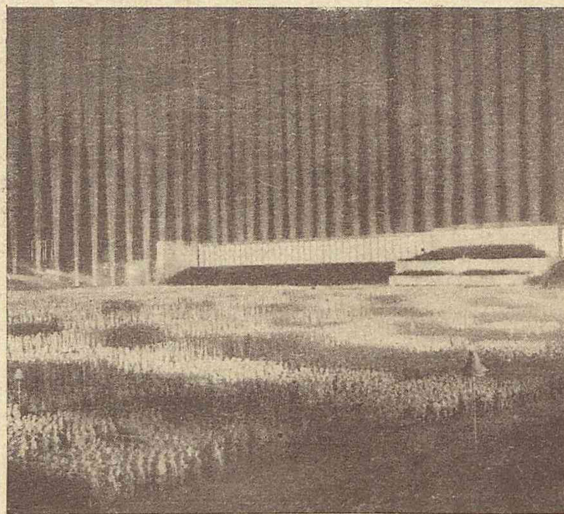
„POKOJOWA" PARADA W NORYMBERDZE

APEL PRZYWÓDCÓW



140 tysięcy przywódców politycznych przedefilowało w bojowym szyku przed Hitlerem. Pionowe światło setek reflektorów fantastycznie oświetlało „Łąkę Zeppelina", dając aktowi politycznemu teatralny efekt dekoracyjny.

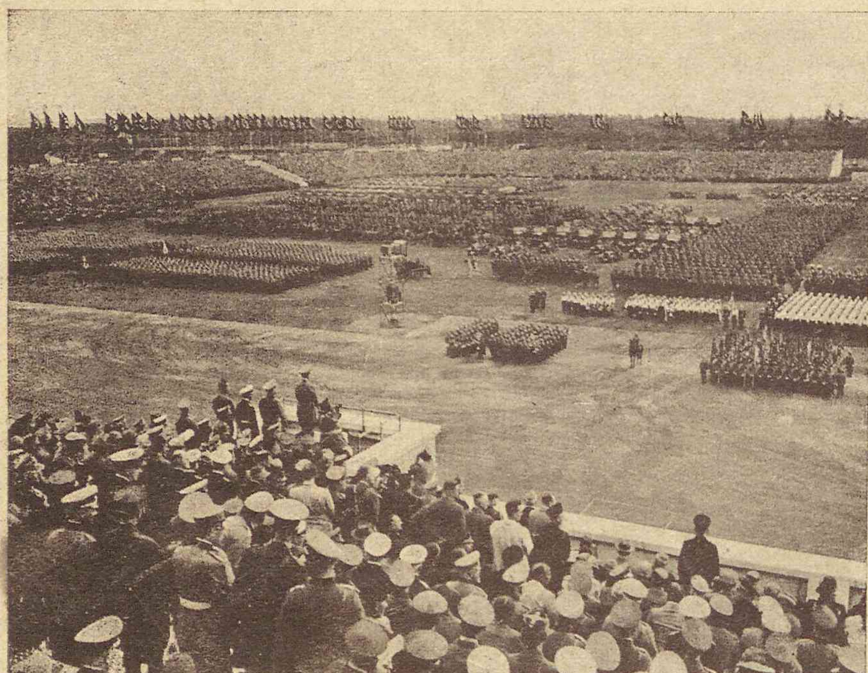




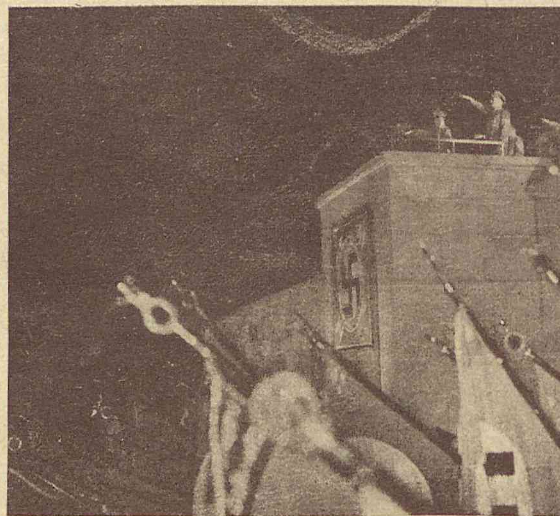
Inny fragment defilady „przywódców politycznych" w świetle reflektorów



Przed Führerem odbyła się wielka rewja sił lotniczych w szyku bojowym.



Rewja sił bojowych partji — na podjum kanclerz Hitler przemawia do młodzieży.



Kulminacyjny punkt rewji — chorągwie chylą się dla uczczenia tych, którzy zginęli w walce dla hitleryzmu. Führer na estradzie wyciągnięciem ramienia składa hołd poległym.

PRASA Z CAŁEGO ŚWIATA

Co piszą w Madrycie?

„Claridad" — Madryt.

„W bardzo podobnych okolicznościach do naszych w chwili obecnej, Lenin rzucił hasło, które w końcu zapewniło zwycięstwo rosyjskiemu proletarjatowi: „Organizacja, organizacja, jeszcze raz organizacja"! Spełniając ten rozkaz proletarjat rosyjski zatryumfował.

Po tym wstępie „Claridad" uzupełnia „Walka nasza przeciw faszyzmowi jest bojem dwuch światów, których współegzystencja jest niemożliwa: Świat faszyzmu podtrzymany przez uprzywilejowanych i świat ludzi wolnych. Ale wolność polityczna nic nam nie da bez wolności ekonomicznej. Musimy wygrać wojnę równie dobrze na terenie ekonomicznym, jak i na polu walki".

A dalej: „Nasze syndykaty i komitety muszą wygrać szturmem ekonomicznym fortece faszyzmu. Do tego potrzebna jest organizacja wykończona do ostatnich granic i kierowana z góry przez organ centralny".

Wreszcie poruszając trzecie zagadnienie, jednolitego dowództwa „Claridad" konkluduje: „W każdej wojnie czy jest ona polityczna, wojskowa, czy ekonomiczna niezbędna jest strategja. Trzeba, aby był jeden wódz, jeden komitet egzekucyjny, jeden człowiek obarczony zaufaniem wszystkich, który wybrałby taktykę i skoordynował manewry strategiczne".

„Mundo Obrero" — Madryt.

„Rząd Largo Caballero przyjęty został z entuzjazmem w całej lojalnej Hiszpanji. Entuzjazm ten jest zrozumiały, ponieważ rząd grupuje wszystko, co jest uczciwe i postępowe w naszym kraju. Ludzie, którzy objęli władzę obciążyli się wielką odpowiedzialnością. Muszą oni działać z wielką energją, aby położyć koniec wojnie cywilnej i zapewnić zwycięstwo ludowi. W imię tej odpowiedzialności i tego obowiązku rząd ma prawo wymagać od wszystkich organizacji, od wszystkich sił antyfaszystowskich entuzjastycznej i bez zastrzeżeń współpracy".

Wówczas gdy mniej więcej w tym tonie cała prasa Madrytu i Barcelony wykazuje intencje rządu w walce o wolność, gdy nawołuje do jedności i jedności dowództwa, dowodząc, że tą drogą szybko zakończy się wojna domowa, korespondencje w londyńskim „Daily Expresie", przychylnym raczej rządowi przewidują jeszcze długą wojnę, która szarpać będzie Hiszpanję.

„Daily Express"—(Londyn) pisze: „Nic nie wskazuje, aby rząd madrycki „dojrzał" już do upadku, jak to niektórzy systematycznie zapewniają. Powstańcy wprawdzie zdobyli San - Sebastian, ale jest to daleko od Madrytu, a jeszcze dalej od Barcelony. Żaden nowy rząd nie będzie się mógł utrwalić w Hiszpanji dopóki nie zdobędzie stolicy i najważniejszych miast w kraju. Z tych miast Barcelona najważniejsza, najbogatsza w ludzi, w energję, w środki materjalne.

Okrucieństwo wykazywane przez obie strony uniemożliwia jakiekolwiek porozumienie się. Każdy hiszpan musi wybrać między oporem i śmiercią. Nawet wówczas, gdy nie będzie już frontu, zbrodnicza partyzantka nie przestanie grasować po kraju".

Ale kiedy wzrok angielski dostrzega jeszcze tyle trudności przed powstańcami narodowcami spojrzenie obserwatorów francuskich z tygodnika „Je suis partout" jest dla rządowców mniej optymistyczne.

Na zasadzie informacji udzielonych przez cudzoziemca, co wydostał się z Madrytu.

„Je suis partout" pisze „nie wydaje się, aby od zeszłego tygodnia Largo Caballero i ambasador Sowietów uzyskali jakiś postęp w realizacji jednolitości dowództwa, co jest niezbędne, aby walczyć z jakąś szansą zwycięstwa. Obecnie mniej niż kiedykolwiek anarchiści są zdecydowani nie poddać się najmniejszej dyscyplinie, najlepiej maluje stan rzeczy proklamacja anarchistów, ogłoszona w organie ich stronnictwa i zatytułowana: „Zbyteczność rządu". W proklamacji tej czytamy: „Istnienie rządu frontu ludowego dalekie jest od pożyteczności w walce antyfaszystowskiej. W gruncie rzeczy oznacza to dobrowolne ograniczenie tej walki. Zbyteczne jest przypomnienie, że w obliczu przygotowań puczu faszystowskiego rządy Generalitatu (w Barcelonie) i Madrytu nie zrobiły nic. Cały ich autorytet był wykorzystany, aby pokryć zabiegi, prowadzące do tego, aby prędzej lub później stały się one (rządy) narzędziem tych machinacji.

Wojna, która się toczy w Hiszpanji, to wojna socjalna. Rola państwa rozjemcy, oparta na równowadze i zachowaniu klas, nie jest rolą aktywną w tej walce, gdzie same fundamenty tego państwa codziennie są podrywane. Słuszne więc jest powiedzieć, że istnienie rządu ludowego w Hiszpanji, nie jest niczem innem, jak refleksem kompromisu między masami ludowemi i międzynarodowym kapitalizmem".

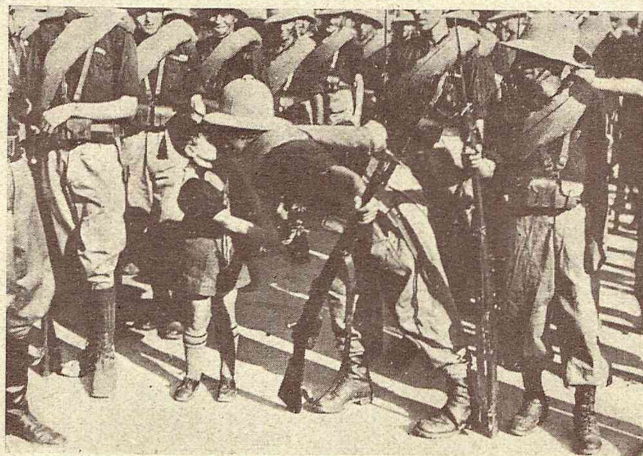
Proklamacja anarchistów jest bardzo wyraźna i utrzymana w tonie ultimatum, kończy się ona stwierdzeniem, że jeśli anarchiści zdecydowali się na współpracę, to bynajmniej nie po to „aby przeciwstawić się faszyzmowi i *utrzymać demokrację* (podkr. nasze), ale, aby ustalić nowy ład".

Jak widzimy, anarchiści nie robią żadnych ceremonji. Nie bawią się we frazeologję, nie mają zamiaru bronić demokracji. Nie kryją swej animozji do socjalistów i komunistów. Walka o jednolite dowództwo to dziś zabiegi o uchwycenie komendy i władzy. Anarchiści są wśród rządowców hiszpańskich elementem najbardziej zdecydowanym i najenergiczniejszym.

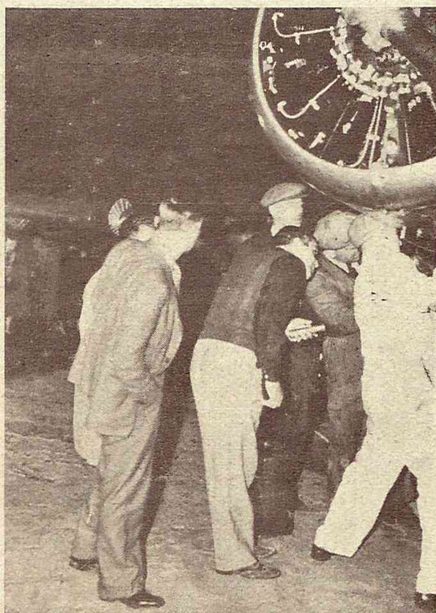
Czy oni chwycą ster, by zaprowadzać „nowy ład?"

Wątpliwe — mieć bowiem będą przeciwko sobie nietylko żywioły umiarkowane, ale w pierwszym rzędzie komunistów i socjalistów.

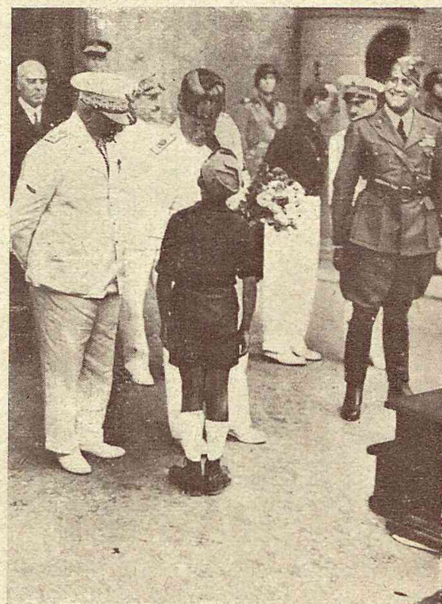
ŻYCIE SKŁADA SIĘ Z ODJAZDÓW I POWROTÓW



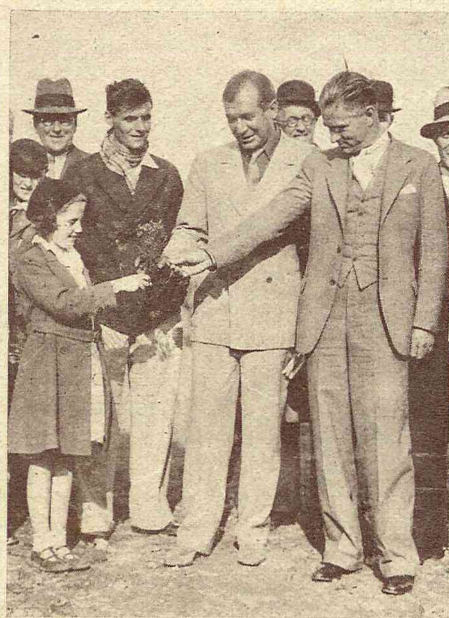
Powrót Legjonu Faszystowskiego „Tevere" z wojny abisyńskiej. Na stacji w Rzymie jeden z żołnierzy wita się ze swym synkiem.



Richman i Merrill, lotnicy amerykańscy, przelecieli Atlantyk tam i z powrotem. Zdjęcie powyżej przedstawia moment ostatnich przygotowań przed startem do drogi powrotnej z Liverpoolu. Pierwszy z lewej Merrill (z rękami w kieszeniach), obok, pochylony, Richman.



Powrót małego żołnierza. Balilla De Simone, liczący lat 11, odbył całą kampanję w Abisynji. Zaszczycony został przy powrocie specjalną uwagą Mussoliniego i odznaczony bronzowym medalem.



Mała Angielka wręcza Richmanowi i Merrillowi bukiecik kwiatów po ich przylocie do Anglji.



Jessy Owens, trzykrotny zdobywca złotego medalu na Olimpjadzie berlińskiej, wjeżdża tryumfalnie do Nowego Jorku.

ZMARTWIENIA DYPLOMATÓW

GUSTAWA OLECHOWSKIEGO

„Zmartwienia Dyplomatów" — to najnowsza powieść Gustawa Olechowskiego. Nie poraz pierwszy „Świat" daje swoim czytelnikom utwór tego autora. Dawniejsi prenumeratorzy naszego pisma przypominają sobie niewątpliwie „U wrót Barbarji", romantyczną historję kresową.

Ogromny materjał obserwacyjny zawarty w powieści, żywe typy, humor i zjadliwa nieraz ironja, walory literackie utworu, którego znaczenie pogłębia mocne ujęcie, już nie tylko od strony anegdotycznej, wielkiego „Zmartwienia" dyplomatów, ale i od strony ideowej.

Od roku 1928-go, od wydania „Wodza" — jest to pierwsza powieść Olechowskiego. Jest ona niewątpliwie odbiciem przeżyć i obserwacji ostatnich kilkunastu lat jego życia, spędzonego w służbie dyplomatycznej na placówkach w Europie i Ameryce.

Romantyczny splot akcji, — jak we wszystkich powieściach Olechowskiego, począwszy od „Dziejów Mężczyzny", — przykuwa uwagę czytelnika. Barwne djalogi, świetne skróty psychologiczne, lapidarne ujęcia scen, żywość narracji ułatwia przeżycie w powieści głęboko ujętego zagadnienia wszechludzkiego. *Redakcja.*

RZECZ DZIAĆ SIĘ BĘDZIE — JUTRO.

Wysiadającego wczoraj z wagonu na dworcu *Hovedbanegaarden* Kazimierza Zima przywitał attaché poselstwa polskiego Jan Doria. Woźny zajął się bagażem pana Radcy. Jednocześnie z tegoż dworca odjeżdżał do swojego kraju na stałe radca poselstwa francuskiego wraz z żoną, więc odprowadzał ich sam poseł, jowialny stary kawaler, osobistość znana zresztą Kazimierzowi z nazwiska. Był on autorem głośnej w swoim czasie książki, nawołującej do przeorganizowania parlamentu partyjno - politycznego na zawodowo - fachowy, wybierany przez Związki. Ponieważ we Francji nikt nie traktował serjo tego projektu, więc ten wysiłek pana de Karra nie zaszkodził mu w karjerze.

Doria, witając się z posłem Francji, przedstawił mu przyjeżdżającego właśnie do polskiego poselstwa nowego Radcę.

— Cieszę się, panie radco, że pierwszy z posłów witam pana na tym gruncie. Doskonale się składa, bo zaraz pana zapraszam do siebie na jutro. Będą — wszyscy, pozna pan odrazu całe tutejsze towarzystwo, cały *corps diplomatique* i niemal cały rząd Danji. *On dansera.*

I dlatego, złożywszy dziś rano w poselstwie francuskiem bilet swój i swego szefa z jego biletem i dopiskiem „p. p." Kazimierz Zim zajeżdżał teraz z Dorią przed rezydencję pana de Karra przy *Trondstjemgade.*

W salonach było chyba ze sto osób. *Jazz* kwiczał, ryczał, łkał, saksofonił w wielkim salonie, wprost w uszy tańczących. Tymczasem nie było tu co robić. Wdrugim salonie flirtowano. Nawinął się major Bursa, attaché wojskowy Polski.

— Zaraz pana radcę przedstawię pięknym paniom — — —

— Za chwilę, drogi kolego. Niech się wprzód rozejrzę, potem zaczniemy prezentację, w miarę okazji.

Przechodzili do dalszych dwóch salonów, gdzie grano w brydża, gdzie pito *cocktaile, whiksy* z wodą i palono świeże, miękie cygara. W czwartym, małym saloniku, spoczywało w otchłannych fotelach kilku panów, między nimi szef Kazimierza, minister pełnomocny Ray. Tu — zdaje się — rozmowa szła w wielkim stylu.

— Od tych zaczniemy.

Ray przedstawił swego nowego radcę ministrom Niemiec, Meksyku, Venezueli, Grecji, Wielkiej Brytanji, Persji i paru innych mocarstw, mniej lub więcej mocarnych.

Poseł Wielkiej Brytanji, siedział, podwinąwszy pod siebie nogi. Chudy, blady, siwy, bardzo rasowy pan, spojrzał na Zima przez monokl i zaprosił go i Bursę, by zajęli wolne fotele.

U francuskiego posła czuł się widać, jak u siebie.

Posypały się pytania:

— Pan prosto z Polski?

— Na jakich placówkach bywał pan dotąd?

— To pan zna tego i owego...

— W golfa pan gra?

— Gdzie pan się doktoryzował?

— Ile pan zna języków?... Bo to wy, Polacy...

— Czy pan przyjechał statkiem z Gdyni?

— *Are you good sailor?*

— Widzę, że pan jest kawalerem naszej Korony. Aluzja do wstążeczki.

— Będzie pan dużo tańczył... Bo tu nic innego —

— No i sporty —

— Tylko że wy, Polacy, wiele pracujecie —

Tyle pytań. Każdy chce wiedzieć co innego. A właściwie — wszystkim wszystko to było zupełnie obojętne.

Kazimierz jest trochę przerażony, bo zauważył, że poseł Pannonji, tłuścioch, z brzuchem pękatym, utrudniającym kontrolę dołu, ma tam jeden guzik niezapięty.

— Czy pan żonaty? — pyta poseł Patagonji. Miał trzy córki na wydaniu.

Co robić z tym guzikiem!..

Poseł Persji, kuzyn szacha, wielki pan, ironiczny, jowialny — powiada:

— Czy mamy prawo zatrzymywać młodzież, gdy ona chce szaleć! Prawda, panie radco?...

Kazimierz coś tam odpowiedział, ale myślał:

— Jakiżeś ty mądry człowiek, dziękuję ci za dobre słowo.

Miał to w wyrazie twarzy.

A Pers był psychologiem i fizjonomistą, więc dodał:

— Dobre słowo nic nie kosztuje, a jest wiele warte.

Bursa wszystkich znał.

W salonie, gdzie grano w brydża, nikomu oczywiście Kazimierza nie przedstawiał. Silentium.

Ale w salonie „flirtowym" —

— Kto jest ta śliczna blondynka w seledynowym kolorze? Co za słodycz w oczach!

— Włoszka, ostrożnie.

— Bo — ?

— Później powiem —

Kazimierz odczuł smutek w postaci Włoszki.

— A ta miedzianowłosa o silnej brwi?

— Rosjanka.

— Co — — — ?

— Jedyna, której poseł Konspirin pozwala bywać w towarzystwie burżuazyjnem, a nawet każe. To nie żadna *steno* ani kancelistka, tylko prawdziwa sekretarka, druga sekretarka poselstwa, dyplomatka, koleżanka.

— Niesłychanie piękna!

Uwaga była wypowiedziana dla Bursy. Dla siebie Zim zarezerwował wrażenie inne.

Bursa informował:

— Nazywa się Nina Fermor.

— Czy Stenbok - Fermor?

— Nie wiem. Znamy ją jako Ninę Fermor.

Zim słuchał, ale myślą przeniósł się raptem bardzo daleko.

— W każdym razie z grafskiego rodu. Ale że wychowana już w nowym „reżymie", więc zakamieniała komunistka. Ma 26 lat. Matka jej została tam... Rozumie pan — —

— A ten polonus?

— To poseł Italji.

— A ta hiszpanica? Co za typ!

— To polka, z Łodzi, żona posła szwedzkiego.

— Curiosa! A te trzy panie?

— Wszystkie trzy — żony dyplomatów czechosłowackich.

— To może zaczniemy od nich. Jak pan wie, byłem przez parę lat w Pradze. Mówię po czesku.

— Ale one nie mówią. Jedna angielka, druga — francuska, trzecia — rumunka.

— Panie majorze, czy tu wszystko jest u was na opak, w tym kraju?

— Oprócz miłości.

Powiedział to jakoś melancholijnie.

Przypiął się do Kazimierza poseł Połączonych Stanów Texasu i Cristobalu, Sullivan, zabrał go na jakąś ustronną kanapkę i zagadywał go o wszystkim od początku świata, narzucając się z przyjaźnią. Wreszcie zaczyna mówić do niego *per* Casimir.

Zmaglował go gruntownie.

O trzeciej w nocy Zim wracał sam. Musiał trochę tańczyć, trochę pić, palić, flirtować... Br. Był zmęczony, zagadany przez sto osób, z pustką w mózgu od powtarzania bez końca tych samych frazesów.

Szedł piechotą, żeby ochłonąć — z gorąca i z wrażeń.

Ciepła była noc sierpniowa.

Nie spieszył się. Przejdzie się po mieście. W nocy wyłaniają się kontury i perspektywy znacznie plastyczniej, niż w dzień.

Zaraz po przyjeździe wystudjował plan Kopenhagi, więc szedł pewny, że nie zabłądzi. Ulice były puste. Kroki brzmiały głośno. Na skrzyżowaniac ulic przechadzali się policjanci, po dwóch.

Cieszył się trochę po sztubacku, że wyjechał z kraju. Przewietrzyć się, pożyć znów innem życiem, odnowić się!... Poza granicami ojczyzny czuł się zawsze doskonale. Nie tęsknił nigdy do niej, naprzód dlatego, że mógł wrócić każdej chwili, a potem — że w perspektywie zatracały się w jego wyobraźni wszystkie cienie, a nabierały blasku — światła życia rodzimego. Bliskiej rodziny nie miał, dalsza była nie ciekawa. Zwyczajni ludzie, niczem byli dla niego, mając go za dziwne stworzenie, inne niż oni. Nie rozumieli czego on właściwie chciał od życia. Mieli go za szczęśliwca, któremu się wszystko udaje, pomimo jego wyraźnych usiłowań, by sobie popsuć karjerę. W gimnazjum ciągle miał zatargi z władzami zaborców. Choć był biedny i powinien był raczej pójść drogą praktyczną, on poszedł na uniwersytet i to na co, — na filozofję! Mógł mieć w kraju różne ułatwienia, to jako stypendysta, to znów mógł mieszkać w Warszawie i stołować się taniutko u kuzynów, a on pojechał na biedowanie do Paryża. Zamiast tam już osiąść i pilnować „tej głupiej filozofji", dzięki której mógł zostać najwyżej nauczycielem, to on uciekł pod sztandary z białym orłem, zaraz po wybuchu wojny. Zamiast tam się jakoś zadekować, bo przecież jako filozof, choć niedokończony, mógł się dostać do kancelarji, to on — w bój. Doczekał się! Pół roku w szpitalu. I znów na front. Awansował — na jeńca. Zniszczony — wrócił do wujostwa. Ledwo się wylizał z nędzy, zamiast jąć się praktycznego zajęcia, wrócił do Paryża, zrobił doktorat i wziął się do polityki. A potem — zachciało mu się — dyplomacji.

Rodzina nie była z niego zadowolona. I władza nie bardzo. Bo jest tak naiwny, że tytuł swój rozumie dosłownie. Skoro jest radcą — to powinien radzić. Nieraz też dawał rady polityczne swoim szefom. Niecierpieli go za to. I dlatego tylko tolerowano go, że wszystko co robił — robił doskonale. Ale, że czyhano, by coś było nie tak, jak każą okólniki, to nie ulega wątpliwości.

Teraz jednak rad był przedewszystkiem z tego, że spotkał tu dawnego przyjaciela, barona Corneliusa.

Nazajutrz — pierwsza, poważna, długa rozmowa z ministrem Rayem.

Półoficjalnie. Po śniadaniu, przy czarnej kawie.

— Bo tak się to stało gwałtownie... Przysłali mi bibułkę, ale personalji pana żadnych niema. Czy — pan jest — prawnik — — — ?

— Prawnik! Nie, panie ministrze.

— A tu właśnie byłby potrzebny raczej prawnik.

— Gdybym był prawnikiem — nie byłbym dyplomatą!

Ray powinien być z tego kontent, bo sam studjował w swoim czasie — agronomję.

Po krótkiej pauzie:

— Owszem, wczoraj się pan w poselstwie francuskiem dobrze przedstawił. Tylko mało pan tańczył.

— Nie bardzo lubię, nie bardzo umiem.

— W brydża — rozumie się, pan gra.

— Nie.

— Co, nie gra pan w brydża! A, to nie dobrze.

— I tak mam wrogów.

— To wielki brak — — —

Chciał powiedzieć — wychowania. Był ożeniony z hrabianką Orsi.

— Przepraszam pana radcę za taką poufałość, ale pana twarz jest dziwnie wyrazista.

Kazimierz się roześmiał. I zaraz spoważniał. Skarcił się w duchu za tę straszną swoją wadę, jeszcze nie poskromioną. Głupota ludzka budziła w nim śmiech. Może to lepiej, niż złość, ale i to nie dobrze.

— Co robić, panie ministrze.... Rodzice moi już nie żyją... Pretensje nierealne.

Ray szybko wrzucił w oko monokl.

— O, widzi pan. Monokl. Twarz wysilona, by utrzymać szybkę, nic nie wyraża i zawsze jednakowo....

— Zastosuję się do życzenia pana posła.

— Ale w brydża niech się pan uczy.

— Nie lubię ryzyka dla małych szans. Zresztą — Aleksander Macedoński nie grał w brydża, Juljusz Cezar nie grał, Metternich grał tylko w stukółkę, Talleyrand wcale, Napoleon tylko w szachy, Clemenceau wogóle nie grał i jakoś dawali sobie rady w dyplomacji — — —

— Ma pan dobry akcent francuski. Zauważyłem wczoraj.

— Dziękuję.

— Interesy nasze z Danją pan zna.

— Oczywiście.

— Musimy z nimi być bardzo dobrze. Choć państwo małe, ale ma znakomitą opinję i zdolnych ludzi. Przyjechał pan na ciekawe wypadki. Wkrótce Kongres Światowy.

— Nici będą z tego, panie ministrze.

— No, niewiadomo.

— Każdy chce czego innego.

—Muszą się zgrać interesy.

— Interesy nigdy się nie zgrają, bo są egoistyczne. Zgrać się mogą tylko wielkie idee. A tych Kongres nie ma.

— Jest pan tego zdania co nuncjusz papieski. Mój przyjaciel. Mówi, że zgranie interesów — to utopja. Że dyplomacja pracuje dla utopji. A on pracuje dla zgrania dusz, co my nazywamy utopją. A to właśnie jest rzeczywistość. Posła Sjamskiego nawraca na katolicyzm.

— Ma rację, panie pośle. Ja też jestem katolikiem.

— Widziałem przy śniadaniu, że pan ze smakiem je. I że się pan zna na winie. Klara zrobiła dziś gafę. Klara — nie zna jej pan jeszcze — - to gospodyni poselstwa. Dawniej była pokojową. Ale bardzo zdolna. Przynosi nieraz bardzo ciekawe wiadomości, z których korzystam. Otóż Klara ma rozkaz podawać wina gorsze, gdy mamy gości z ojczyzny. Ponieważ pan jednak jest przy poselstwie, więc postąpiła połowicznie. Dała czerwone podłe a białe dobre. Widziałem, że pan czerwonego ledwo dotknął.

Kazimierz znów się roześmiał.

— Ja, panie ministrze, jadam ze smakiem, bo jestem — chwała Bogu — zdrów i mam wszystkie zmysły w porządku, ale nie przywiązuje do tego wielkiej wagi.

Była dobra komitywa.

Tylko ten brydż.

Nie miał dotąd chwili czasu na rzecz najważniejszą, na dłuższą rozmowę z Willym Corneliusem. Spotkali się u Karra, zamienili z sobą niewiele zdań wobec konieczności konwersacyjnych na tak wielkiem zbiegowisku.

Dopiero teraz zatelefonował do niego, wziął taksówkę i w dziesięć minut potem przejeżdżał przez most na jeziorach — *Dronning Louise Bro*, przy którym mieszkał Cornelius.

Cieszyła go ta jedyna w swoim rodzaju panorama. W środku dużego ożywionego miasta szereg jezior naturalnych, ujętych w linje proste, równoległe, w bulwary udrzewione, połączone mostami, otoczone zwykłemi wprawdzie domami burżuazyjnemi, ale utrzymanemi w doskonałej kulturze, o kryształowych lśniących szybach okien, zawieszonych starannie, dostatnio, pięknemi firankami. świadczącemi o dobrym guście mieszkańców.

Zim westchnął żałośnie, wspomniawszy rozczochraną i nieumytą Warszawę, która ma tyle wartości duchowych w swych odrapanych murach, tyle dynamiki w ludziach niektórych, a która nie może stworzyć swojego własnego stylu, nie może się jakoś zrównoważyć i znaleść formy właściwej dla swojej skomplikowanej duszy, pomiędzy fatalizmem Wschodu a materjalizmem Zachodu.

Pomyślał o swoich współideowcach ze Związku.

— Jesteśmy różdżkarzami społecznymi, bo wiemy, gdzie są skarby ukryte. Wyglądamy na magów i dlatego tak trudno nam wzbudzić zaufanie w otoczeniu. Za piękne, za dobre, za mądre... Ale to przyjdzie.

Dr. baron Wilhelm van Cornelius, chargé d'affaires des Pays - Bas — widniało na miedzianej blaszce.

— Nie masz pojęcia jak się cieszę, drogi Casimir. Gdy mi napisałeś, że cię tu wysyłają, zatańczyłem dziki taniec wojenny Botokudów. Głupstwo powiedział Ibsen we „Wrogu Ludu", że człowiek jest naprawdę mocny, gdy jest sam. W samotności się dojrzewa, ale mocnym jest się dopiero we dwóch.

— To prawo natury, mój kochany. Dwoistość, najpierwotniejsze z praw kosmosu. Treść i forma, duch i ciało. Jeden a dwóch to większa różnica, niż dwóch a tysiąc.

Dopiero u przyjaciela poczuł się Zim u siebie, na tym obcym gruncie.

— Opowiadaj, Casimir, co słychać w Warszawie.

— Wszystko idzie ku lepszemu, tylko materjalnie jeszcze słabo.

— Nie próbowałeś przekonać kogo należy?

— Owszem, ale trudno idzie. Ja osobiście jestem skrępowany. Związek nie ma jeszcze dość siły. Ale już się odzywają na pukanie. Może wkrótce drzwi się otworzą. Polacy, jak wiesz, trudno uznają swoich. Obiecuję sobie większy sukces na dystans.

— A ja mam szalone projekty. Kongres. Rozumiesz.

— Miljony tematów mamy do omówienia. Willy, *czuję*, że my tu ruszymy sprawę.

— Ach, czas, czas, bo widzisz, co się dzieje. Stara era już się likwiduje. Wybrano nawet syndyków upadłości dla ratowania — — —

— Im się zdaje, że znaleźli rozwiązanie, a oni tylko tyle wymyślili, że trzeba szukać.

— W powietrzu wiszą wypadki apokaliptyczne i jeżeli my nie przyjdziemy w porę — — —. Czy ty na stałe chcesz mieszkać w hotelu?

— Boże broń, będę szukał prywatnego mieszka-

nia, ale w centrum, gdzieś w okolicy *Raadhusplad-sen.*

— Czemu nie w moich stronach?

— Bo samochodu nie mam, jak ty, — na rowerze — jak robią wszystkie Duny — jeździć nie będę, a chodzić nie będę miał czasu... A ty — zakorzeniłeś się na tym gruncie?

— Powoli. Nie miałem oparcia.

— W naszej pracy musi się mieć swoją atmosferę.

— Właśnie. A ja byłem sam. Możnaby i tu stworzyć klub, z Duńczyków, są typy podatne, ludzie o bardzo wysokim poziomie rozwoju duchowego, ale my — służąc w dyplomacji — mamy ręce związane.

— To też uważam, że możemy działać tylko odgórnie. Od dołu potrzebne nam jest tylko podłoże, raczej dla naszego osobistego przeszkolenia.

— O, świetnieś to ujął.

Z drugiego pokoju doszedł męski głos:

— How do you doooo!

Zim zmarszczył się. Półgłosem pyta:

— Jest ktoś u ciebie?

— Owszem — jest.

Kazimierz był nie kontent. Mówił dotąd, jak się mówi bez świadków. A może tamten nie rozumie po francusku...

Willy wyszedł, a po chwili wrócił, niosąc na ramieniu niewielką papużkę.

— How do yop doooo!

— Uprzedzam, że choć cię wita, ale nie znosi obcych osób i dziobie.

Tymczasem papużka rozczapierzyła skrzydła, nastroszyła pióra i krzycząc przeraźliwie ale radośnie, podniosła lewą łapkę, jakby ją chciała podać gościowi.

Zim zbliżył się do niej, podając jej palec. Papuga delikatnie objęła go pazurkami i przeniosła się z ramienia swego pana na rękę Zima, poczem pokracznie przemaszerowała mu na ramię, wydając pomruk zadowolenia.

— To nadzwyczajne — powiada Willy, — na setki osób, które się przez mieszkanie moje już przewinęły, dotąd jedna tylko osoba była w jej łaskach.

Zim popatrzył uważnie na przyjaciela.

— *A propos* osoby. Nie żenisz się wypadkiem?

Willy śmiesznie się zarumienił.

— Jeszcze nie, ale myślę o tem coraz częściej.

— Objekt?...

— Nie tutejszy.

— *Corps diplomatique?*

— Trafiłeś. A ty?

— Mnie ciężej. Znasz moje stosunki materjalne. Nie są brylantowe.

— Głupstwo. We dwoje lżej.

— Albo ciężej.

— Przyjrzyj się dunkom. Są wśród nich wartościowe.

— Jak wszędzie. Cudzoziemek unikam w tym względzie.

— Może masz rację. A wogóle przeżyłeś co ciekawego w ostatnich czasach?

— Dość. Ujawniłem się więcej na zewnątrz. Zyskałem sobie nowych wrogów, pozbyłem się paru starych „przyjaciół" a także kilku nałogów, a właściwie, nie nałogów, a po prostu niepotrzebnych przyzwyczajeń.

— Robisz wrażenie, żeś bardzo poszedł naprzód.

— A wiesz, że mogę ci się odwdzięczyć tem samem. Twarz twoja nabrała jakby nowej barwy. Aura wysublimowana...

Przyjaciele wspominali potem wspólnych znajomych z Warszawy, rozmawiali o stosunkach miejscowych, nowych dla Zima, i o sprawach praktycznych.

Nazajutrz Zim zaczął zwiedzanie stolicy, bo nie miałby spokoju, gdyby zaraz tego nie uczynił. Potem — to już stracone. Stały mieszkaniec nigdy nie zna swego miasta.

Stał przed gablotą ze starymi orderami duńskiemi. Miły zapach go uderzył. Obejrzał się. Nad sąsiednią gablotą pochylona wpatrywała się w minjatury angielskie — Nina Fermor. Uchylił kapelusza.

— O, pan dopiero onegdaj przyjechał i już pan zwiedza starożytności — zaczęła wesoło. — To bardzo dziwne, jak na młodego człowieka.

— Jak się pani bawiła w poselstwie francuskiem?

Zamienił z nią wówczas parę zdań. Znał jej kraj jeszcze z przed wojny, mówił biegle jej językiem. Ale na przyjęciu u de Karra miał uwagę zbyt rozproszoną, by dobrze się przyjrzeć komunistce z hrabskiego rodu. Zresztą w salonach było modne półświatło.

Dopiero teraz, w blasku ostrego słońca, oświetlającego przez olbrzymie okna stary lamus duński, wparł w nią wzrok badawczy.

Natura darzy ją bogato. Kobieta piękna i rasowa. Włosy — stara miedź, a lśniące, faliste, zdaje się nawet, że naturalnie faliste, cera twarzy opalona, także — zdaje się — raczej z natury, niż od słońca, oczy barwy morskiej wody w pełni światła, to znaczy zielono-niebieskie. Brwi takich w życiu swojem nie widział. Gruba, prosta linja nieprzerwana dzieliła duchową górę głowy od zmysłowego dołu. Rysami twarzy przypominała — Napoleona. Ale była wysoka, zgrabna, bujna.

— Lubi pani minjatury?

— Przez kontrast, że jestem taka duża.

Nie można rozmawiać, zwiedzając. Konwersacja staje się szeregiem wykrzykników, zachwytów lub ironicznych uwag. Ludzie silą się wówczas albo na oryginalność poglądów, albo na dowcipy. I jedno i drugie jest dla Kazimierza banalne. To samo czuje Nina.

I jakoś tak, instynktownie, kierowali się ku wyjściu.

Woźny z politowaniem patrzał na nich: Dopiero co wchodzili, każde osobno, a już wychodzą — razem. Przyszli pewno na *rendez-vous.* Bezczelność tych cudzoziemców!... I jakim to językiem gada!... Żadnego szacunku dla muzeum narodowego. Tfu, z tą powojenną hołotą.

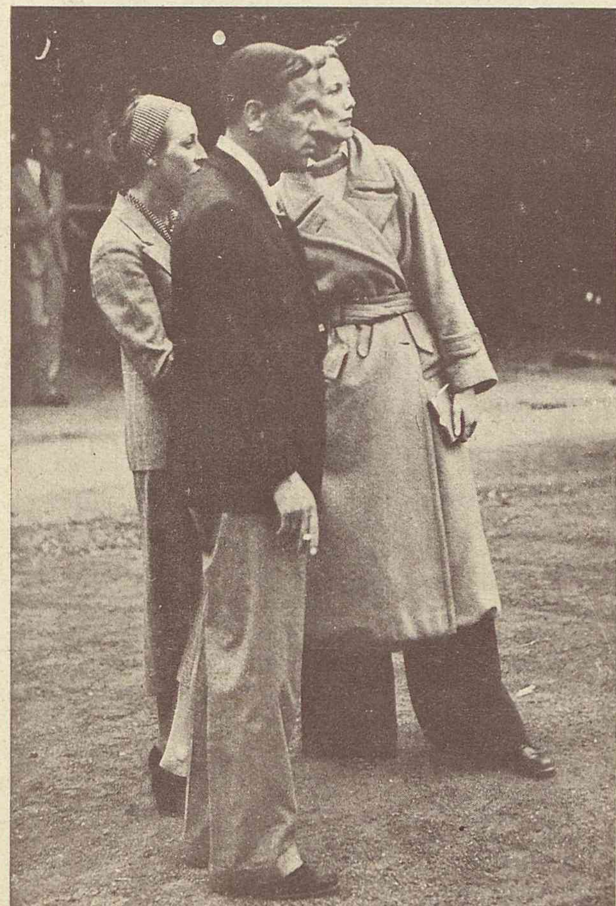
Żar był w powietrzu, cysterny miejskie polewały plac, pusto, niedziela, godzina dwunasta. Obok jest park. Klony dają cień. Ławeczka samotna...

— Nie trzeba związywać swojego życia z cudzem. Każdy człowiek, mężczyzna czy kobieta, winni sami sobie życie urządzać, tak, proszę pani.

— Pan tak mówi! A przecież to w waszej cywilizacji, zachodniej — herezja. U was rodzina — to świątynia!

— Nie przeczy to pojęciu rodziny. W rodzinie trzeba widzieć ćwiczebny camping. Szkoła cnót chrześcijańskich: pracy, wyrozumienia, cierpliwości, miłości, pokory, przebaczenia. *(D. c. n.)*

Z ŻYCIA SPORTOWEGO W ANGLJI



Mrs. Beryl Markham, młoda dama z londyńskiego towarzystwa, przeleciała z Anglji do Nowego Jorku. Widzimy powyżej pierwszą kobietę, która samotnie dokonała tego lotu, na lotnisku pod Londynem, w towarzystwie słynnej pary lotników Amy Johnson-Mollison i jej męża Jima Mollisona.

Harry Richman i Dick Merrill, dwaj lotnicy amerykańscy, którzy po przelocie ze Stanów Zjednoczonych do Europy wylądowali w małej miejscowości angielskiej Llandillo, w południowej Walji. Ludność przyjęła ich entuzjastycznie — ustanowili bowiem nowy rekord światowy. Jak widzimy na zdjęciu poniżej — amatorzy autografów urządzili istne oblężenie bohaterskich lotników.



Kto będzie w tym roku championem juniorów? — Takie pytanie rzucają tysiące młodych tenisistów angielskich, walcząc w turniejach młodzieży, zorganizowanej w setkach klubów sportowych. Ta świetna powszechność sportu daje ogólny wysoki poziom angielskiego tenisa i pozwala na celowe wyszukiwanie młodych talentów. Jakże inaczej, niż u nas!



Miss Gladys Batchelor, dwudziestoletnia pilotka angielska, obrana plebiscytem na „Królową Powietrza". Burmistrz miasta Rochester nakłada młodej monarchini koronę królewską.



M. SMOLARSKI

WSPOMNIENIA IMCI PANA MUCANTE

(Fragment z książki „Dawna Polska w opisach podróżników cudzoziemskich" Wyd. Książnica Atlas)

Mieczysław Smolarski, autor „Pieśni i śpiewów rycerskich", „Poezji powstania listopadowego i legjonów", nagrodzonej na konkursie im. Bieleckiego przez Pol. Akad. Umiejętności, jest jednocześnie bardzo poczytnym powieściopisarzem, cenionym poetą i badaczem naukowym. Te trzy pierwiastki, któremi zabłysnął jego talent już w „Przygodach polskich podróżników", skupiły się najsilniej w jego nowej książce „Dawna Polska w opisach podróżników cudzoziemskich", pisanej barwnie i żywo i elektryzującej czytelnika. Autor roztacza w niej obraz dawnej, rzeczywistej świetności Polski, opisywanej w różnych wiekach przez cudzoziemców. Z mgły dziejowej wyłaniają się postacie to arabskiego wędrowca, który oglądał Polskę pogańską, to błędnego rycerza z tarczą na ręku, który dał się obwieścić heroldom na dworze Jagiełły, to dworzanina Walerjusza, który podczas ucieczki krył się w polskich bagnach, to dworzanina Marji Ludwiki, — lekarza angielskiego Króla Jana, pastora, który spożywał obiad z Królem Stanisławem Augustem w Łazienkach, bojara rosyjskiego, Niemca, leczącego dżumę na pograniczu Polski i Turcji i innych.

Co mówią. O czem opowiadają. Czy w przeszłości Polski obok wad dostrzegali wielkie zalety, obok słabości siłę i potęgę, czy zadziwiała ich wielkość, olśniewało bogactwo, rycerskość, wykształcenie.

To treść tej książki. Smolarski nie szuka umyślnie paszkwilistów, nie podkreśla specjalnie tego, co Polsce było wrogie. Wybrał podróżników niebylejakich, dyplomatów, historyków, uczonych, statystów. A jeśli jakiś rozdział poświęcił temu, czy innemu autorowi, który Polskę i jej niezwykle dziwy opisywał, choć jej na oczy własne nie oglądał, to dodaje tem tylko humoru książce, równocześnie poetyckiej, barwnej i poważnej.

Zamieszczamy poniżej interesujący fragment z tej ciekawej książki.

Skorzystajmy najpierw z opowiadania cudzoziemca, by zobaczyć Kraków w pełnem słońcu złotego wieku.

Przed nami krąg baszt, wieżyc i murów, obwiedzionych rowem. Wchodzimy przez jedną z bram.

„Miasto nie jest zbyt wielkie, formy prawie okrągłej, w godzinę obejść je można... Domy wewnątrz są wszystkie z kamienia lub cegły, lecz przeważnie pokryte gontami. Jest w niem wiele pięknych kościołów... W środku niemal samego miasta jest niezmierny plac czworograniasty, który, gdyby go zwolnić z zawalających klitek, okazałby się większym niż Piazza Navonna. Są tam więzienia, budy z rozmaitemi towarami, sukiennicy, płóciennicy, kuśnierze i t. d. Stoi tam także kościół św. Wojciecha, gdzie czasem bywają niemieckie kazania. Cały prawie plac zajęty jest ławkami i kramami drewnianemi, gdzie znajdziesz różnych rzemieślników, żelazo, tandetę, szkło, owoce, jarzyny, ogrodowizny i inne rzeczy do jedzenia.

Przy kościele Panny Marji jest wysoka wieża z bijącym zegarem. Płatni trębacze za uderzeniem każdej godziny, czy to w dzień, czy w nocy, dają mieszkańcom znać, która godzina. Wynalazek piękny, przypominający śmiertelnym, jak szybko lecą godziny naszych dni. Jest to także dobrą strażą przed ogniem. I tu, jak w Niemczech, chodzą najęci stróże po ulicach, zapowiadając przez całą noc godziny i ostrzegając o ogniu.

Nieco przed brzaskiem zorzy odzywa się ze wszystkich wież Krakowa słodka muzyka fletów i innych instrumentów, witająca, że tak to określę, wschodzącą zorzę, a raczej wielbiącą Twórcę zorzy, słońca i wszechrzeczy. Wielu tutejszych mieszkańców wstaje przed wschodem, idzie do kościoła Bogu się modlić i wysłuchać mszy świętej.

Za kościołem znajduje się jeszcze długi plac, gdzie odbywa się sprzedaż różnych mięs, wołowiny, cielęciny, baraniny, wieprzowiny, w pięknych szmatach i niezmiernie tanio. Jatki te są bardzo czyste, gdyż nie bije się w nich bydła, lecz przywożą już je zabite. Przybywają nadto ze wsi kmiecie z ćwierciami cielęciny i baraniny, nieraz z całemi cielętami żywemi lub zabitemi... Znajdziesz tam także obfitość tuczonego drobiu i zwierzyny za bardzo mierną cenę.

Na górze przy kościele św. Stanisława stoi pałac królewski, obszerny i piękny. Widać stamtąd z jednej strony całe miasto i przedmieścia, z drugiej obfite niwy, wsie, miasteczka, aż do gór węgierskich. Ulice w mieście i na przedmieściach brukowane są dużemi, okrągłemi kamieniami, lecz tak źle spojonemi, że ciężko po nich chodzić, gorzej jeździć wierzchem, najgorzej zaś w karecie. Na niektórych ulicach kamienie są tylko po bokach, środkiem zaś niezmierne kałuże błota, przez które trzeba brnąć, gdy przechodzi się z jednej strony na drugą. Za murami pełno jest sadzawek do chowania ryb.

Za bramą św. Florjana jest duże przedmieście z tej i z tamtej strony Wisły, przez którą wiedzie most drewniany. Za rzeką leży obwarowany oddzielnie Kazimierz. Mieszkają tam żydzi z brodami, pejsami, w jarmułkach i lisich czapkach.

„Nie brak Krakowowi kupców, przeważnie cudzoziemskich, którzy handlują nietylko tem, co kraj wydaje, lecz wszy-

stkiemi zagranicznemi płodami, tak surowemi, jak wyrabianemi, wszystkiem wreszcie, co do najwykwintniejszego zbytku służyć może. Znajdziesz bogate domy kupców włoskich, francuskich, angielskich, flamandzkich, tureckich, perskich, ruskich i moskiewskich. Towary sprowadza się wodą z Gdańska.

A szlachta?

„Jedna bawi się orężem i wojną, druga wstępuje do stanu duchownego, w którym znaczne otrzymuje dochody z biskupstw, prałactw i opactw. Wszyscy, tak świeccy, jak i duchowni, lubią życie wesołe".

„Ranek poświęcają pracy, obiad jadają późno, w dwie godziny potem wieczerzę. Piją wtedy wiele, żartują i śpiewają do północy, a nieraz i do dnia białego. Odpoczywają potem w łóżkach małych i wąskich, w których ledwo można się obrócić".

„Jest też w Krakowie wielu studentów, gdyż nietylko szlachta, ale nawet wieśniacy i mieszczanie oddają synów do szkoły, by uczyli się łaciny i muzyki. Wiele jest burs i fundacyj dla ubogich studentów, wielu jednak znajdziesz i w Krakowie i w innych miastach, chodzących po jałmużnę z garnkami w ręku, w które mieszkańcy jadło wkładają. Nie brak w Polsce szkół, wszędzie je znajdziesz".

*

Malowniczy ten opis nakreślił w r. 1596 gość nielada, gdyż imć pan Paweł Mucante, „magister ceremonji" i sekretarz kardynała Henryka Gaetano.

Pan magister miał służyć piórem, a obok tego uważać, by wszystko odbywało się dostojnie i zgodnie z przepisanym obyczajem.

Urząd, który pełnił, nie był bez znaczenia w tej epoce, gdy lubowano się w malowniczych pochodach i zebraniach uroczystych. Przystało mieć przy sobie takiego dworzanina posłowi papieża Klemensa VIII, kardynałowi Gaetano, który w otoczeniu prałatów przybył z nadzwyczajną misją do młodego Zygmunta III, króla potężnej Rzeczypospolitej.

Nie o małą przecież chodziło rzecz! Zapragnął ojciec święty zjednoczyć siły chrześcijan do walki z niewiernymi. Zdał na umiejętność i troskę legata zabiegi o przymierze między władcą Polski a cesarzem Rudolfem II. Przeszkadzał temu wprawdzie traktat Rzeczypospolitej, przed pięciu zaledwie laty z Turkami zawarty, utrudniało sprawę chwiejne, nieszczere stanowisko cesarza, ale i ów zgodził się wysłać posły, uraz zapomnieć i rozpocząć ważne układy.

We środę 12 czerwca rozeszła się wśród mieszkańców Krakowa wiadomość, że legat przybył do Tyńca, gdzie zamieszkał w prastarem, zamczystem opactwie benedyktynów.

Nazajutrz pojechał do Balic, dóbr Firleja, wojewody krakowskiego. Przez trzy dni tam bawił w pięknym, choć drewnianym pałacu, ciesząc oczy wspaniałym ogrodem, pełnym „winogron, fig, brzoskwiń i moreli", tak rzadkich w północnym kraju owoców. Przez ten czas dwukrotnie przyjął kardynała Radziwiłła, który wręczył mu list od króla Jegomości.

W niedzielę 16 czerwca wyruszył wreszcie, otoczony pocztem konnym, w dalszą drogę. Zatrzymał się w królewskim pałacu w Łobzowie, gdzie spożył podwieczorek, złożony z „najpiękniejszych owoców i konfektów". Przebrał się potem w strój uroczysty, na barki narzucił czerwoną kapę, głowę ozdobił kardynalskim kapeluszem, wsiadł starodawnym zwyczajem na muła, przystrojonego rzędem ponsowym, i pojechał do miasta. Poprzedzali go dworzanie, dzierżąc wysoko oznaki jego godności, srebrny czekan i krzyż z wizerunkiem Zbawiciela.

Towarzyszyli mu: jego synowiec, czarnowłosi i smagli włoscy prałaci, monsignor Firlej i inni kościelni dostojnicy.

Natychmiast zaczęli im zajeżdżać drogę z powitaniem polscy senatorowie i panowie, zbrojnemi oddziałami otoczeni, wśród nich Piotr Myszkowski z czterdziestu jeźdźcami w aksamicie ze złotem i ze skrzydłami u ramion. Zaraz potem pojawili się kupcy krakowscy: Włosi, Flamandowie, Francuzi, Niemcy i Angielczycy w strojach narodowych.

Ostatni wreszcie przybył kardynał Radziwiłł. Choć legatowi równy godnością, umyślnie przystroił się w szaty mniej od niego świetne. Nie schodząc z rumaka, łacińską oracją go powitał. Odpowiedział mu Gaetano, poczem we dwuch przyjaźnie ruszyli, otoczeni ogromną świtą, której wspaniałości dodawały hufce piesze i konne.

Przed otwartą naoścież bramą Florjańską czekało duchowieństwo. Legat przykląkł na pięknej aksamitnej poduszce i pocałował krzyż, który mu podał biskup łucki. Zagrzmiały działa, zahuczały kotły, trąby i flety. Przy hałaśliwym ich odgłosie cały orszak podążył na rynek. Kardynał powtórnie ukląkł przed kościołem Marjackim i w skupieniu oddał się modlitwie. Wsiadł znów na muła i pojechał na Wawel, gdzie w katedrze odśpiewano Te Deum. Zajął wreszcie miejsce w karecie i udał się do pałacu biskupiego, by na stałe tam zamieszkać. Pałac ten pan mistrz ceremonji ocenił jako „obszerny, wygodny" i zaopatrzony w „najpiękniejsze i najbogatsze" sprzęty.

W Krakowie przebywał poseł papieski niemal przez dwa miesiące. Rankiem zwiedzał liczne świątynie, po południu zabawiał

się przejażdżkami po pięknych podmiejskich ogrodach i przez pierwsze cztery tygodnie oczekiwał tak dla misji swojej bezowocnie na przybycie wysłanników cesarskich.

Sprawy polityczne, dość długo zamarłe, ożywiły się dopiero w dniu 10 lipca, gdy przybył marszałek koronny Mikołaj Zebrzydowski, ten sam, który w dziesięć lat później podnieść miał rokosz przeciw królowi i założył głośną do dziś Kalwarję Zebrzydowską.

Że w czasach owych lubowano się w przepychu, więc i on odbył wjazd okazały. Podziwiali ciekawi jego prześlicznego dzianeta, szesnaście karet sześciokonnych oraz orszak przyboczny, złożony z trzystu rycerzy konnych i stu pieszych hajduków, uzbrojonych w rusznice i halabardy. Przywiózł widocznie ważne wieści, gdyż prosto z drogi pośpieszył do pałacu biskupiego, gdzie odbył z Gaetanem poufną rozmowę, poczem dopiero pojechał do swego mieszkania na Wawel.

Wślad zatem, choć w kilka dni później, pojawił się nuncjusz papieski w Polsce, markiz Malaspina, który krewkiem swem usposobieniem i lekceważeniem niemało miał napsuć krwi pedantycznemu panu Mucante. I on długo, tajemniczo z legatem rozmawiał. W dniu 14 lipca jeden z prałatów wygłosił kazanie w kościele franciszkanów dla Włochów zamieszkałych w Krakowie i Polaków rozumiejących po włosku. Słuchaczy takich nie mogło wówczas braknąć.

Nazajutrz nastąpił wreszcie ów ważny dzień, gdy z wielką pompą wjechali w mury Krakowa posłowie cesarscy i senatorowie polscy, poczem zagajono długie układy o wojnę przeciw Turkom, które, jak się okazało, trzeba było przenieść później w pobliże królewskie do Warszawy.

W dniu 10 września opuściło zatem stare miasto dwadzieścia pięć karoc, wiele wozów z bagażami oraz trzysta osób, należących do dworu legata i nuncjusza Malaspiny. Kto znał zwyczaje polskie, brał ze sobą łóżko lub bodaj materac, choć o noclegi nie było powodu się obawiać, gdyż przygotowano je wszędzie po drodze z rozkazu króla Jegomości.

Pierwszą noc spędzono w Proszowicach. Kardynał stanął w wielkim, drewnianym dworze, lecz liczni jego dworzanie musieli mieścić się nieraz nawet po sześciu i ośmiu w małych domkach. Pan mistrz ceremonji bardzo się na tę noc uskarżał. Druga noc wypadła lepiej w Wiślicy, miasteczku, obwiedzionem jeszcze murami. Następną spędzono widocznie również nieźle w Szydłowie. Nazajutrz odpoczęto jaknajgorzej w jakiejś niewielkiej miejscowości, gdzie po niedawnym pożarze pozostało już tylko kilka domów. Od tej pory pan Mucante przestał wogóle źle przespane noce w dzienniku swym zaznaczać.

Zapisywał natomiast często spotykane zamki i grody, gdyż Polska wtedy była warowna i miasta nie upadły jeszcze tak, jak w późniejszych, cięższych czasach. Pałac w kształcie fortecy, uposażonej działami, ujrzał wkrótce w Iłży, majętności księcia Radziwiłła. W dniu 16 września nocował w Radomiu, w którym nie było murowanych domów. We środę dotarł do Warki, gdzie spróbował piwa, słynącego na całą Polskę. Uznał, iż jest białawe, szczypiące, w smaku do wina podobne.

Nazajutrz pozwolił podziwiać siebie i swój dwór mieszkańcom cichego Piaseczna, a w dniu 20 września po dzisięciu dniach podróży przybył wreszcie do Ujazdowa, gdzie zamieszkał w królewskim, drewnianym pałacu. Przygotowano dlań pokoje, obite karmazynowym aksamitem ze złotem i frendzlami, oraz łóżko z firankami i ścianami ze złotogłowia. Wysłał synowca do Warszawy z prośbą o posłuchanie u Jego Królewskiej Mości, lecz sam czekał znowu przez dwa dni, gdyż dopiero w niedzielę miał odbyć się wjazd uroczysty.

Imć mistrz ceremonji pojechał do miasta, by z dziekanem i kanonikami kościoła św. Jana przygotować wspaniałe powitanie, lecz zamiast podziwiać nieznane budowle lub przypatrywać się cudzoziemskim ubiorom, wzrok przedewszystkiem z rozpaczą skierował na błoto, które po niedawnych deszczach leżało na ulicach tak obficie, że koniowi po brzuch sięgało. Przerażony, iż wśród tych kałuży świetność wjazdu nie zda się na nic, poprosił o pomoc marszałka wielkiego Zebrzydowskiego, którego znał z Krakowa. Istotnie natarczywością swą osiągnął, że ulice wyczyszczono, do czego zresztą piękna, trzydniowa pogoda walnie pomogła. Dopiero po załatwieniu tej sprawy zaczął samemu miastu się przyglądać.

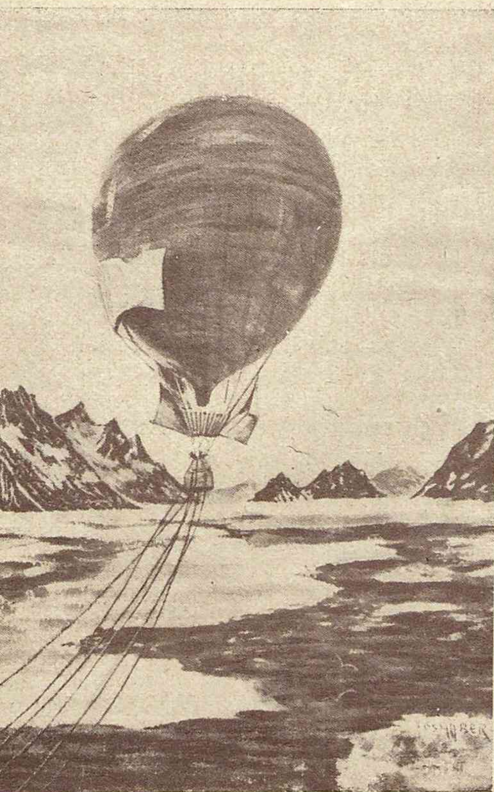
Nie zachwyciło go narazie. wzrastało dopiero, by zamienić się w stolicę. Wydało mu się szczupłem, mało wygodnem. O skromnym jego ówczesnym rozmiarze świadczy to, że kościół bernardynów stał już na przedmieściu. Domy były wprawdzie murowane, bruk wyłożony cegłą i czerwonym granitem, źle zresztą spojonym, jak w Krakowie, ale gospód brakło i panował wszędzie wielki tłok.

Najdziwniejszy, choć malowniczy widok przedstawiał rynek, otoczony pięknemi kamienicami jednakiej prawie wysokości. Znaczniejszą jego część z powodu jarmarku zajmowały sklepy rzemieślników. Przed domami kłębił się dym z drewnianych kuchni senatorów, którzy z powodu ciasnoty przydzielonych mieszkań kazali kucharzom swym przygotowywać potrawy na ulicy.

Położenie natomiast Warszawy, oblanej jeszcze jasnem światłem wrześniowem, wydało się panu Mucante pięknem i wesołem. Podziwiał długi, potężny most na Wiśle, którego budowę, zaczętą przez Zygmunta Augusta, skończono przed ćwierćwiekiem z rozkazu Anny Jagiellonki. Zamek królewski był obszerny i wspaniale wewnątrz urządzony. Pod miastem nęciły owocami piękne ogrody, a dalej zaczynał się las z wielkim ogrodzonym zwierzyńcem, w którym ku zabawie władcy trzymano żubry, tury, niedźwiedzie, dziki, jelenie i daniele. Pan Mucante miał skosztować mięsa tura. Osądził bez zachwytu, iż jest dość twarde i suche, do wołowiny podobne.

Trzeba było jednak znów pomyśleć o ceremonjałach, gdyż wjazd do Warszawy ze względu na obecność w niej króla miał być przecież wspanialszy jeszcze niż do Krakowa.

TYDZIEŃ ŚWIATA



Powrót z krainy lodów

Nasi aeronauci, o których los trapiła się cała Polska niemal przez dziesięć dni, wrócili. Wrócili ocaleni po samotnej, wyczerpującej wędrówce wśród bagien północy. Dali ze siebie wszystko, aby zwyciężyć. Gdy burza śnieżna zakończyła ich lot brnęli przez tundry samotnie. Witamy ich jak zwycięzców, jak ludzi drogich sercu. Nie zajęli pierwszego miejsca — ale brawura z jaką uzyskali drugie, wola zwycięstwa i wykazany hart w dniach grozy, godzinach niebezpieczeństwa sprawiły, że stali się tak bliscy, tak drodzy całemu narodowi, który o nich myśli i mówi z miłością i dumą.

Moralność dyplomatyczna

Genewa rozpoczęła swe zwykłe obrady. Rada. Zgromadzenie. W tym roku, jednem z zagadnień wstępnych był znak zapytania, zawieszony nad Abisynją. Zastanawiano się, radzono, argumentowano, przemawiano do rozsądku, aby niedopuścić do obrad i partycypowania w naradach Abisynji.

Półoficjalnie sekretarjat wolałby, aby ta drażliwa kwestja załatwiła się szyto, kryto, w kuluarach.

Rok temu lwie serca ligowe domagały się sankcji przeciw Włochom. Rzucano gromy, potępiano, dyskwalifikowano! Dziś Włochy są zwycięzcami. Zwyciężyły pomimo wszystko. Abisynja, której nadzieje rozpalono do białości, której nie dano pertraktować bezpośrednio, jest pobita i podbita. O jej niepodległość nie chcą kruszyć kopji, nawet kopji z tutek papierowych niedawni przyjaciele, natomiast realnie usiłowało się wyrzucić zwyciężonych poprostu za drzwi. Moralność dyplomatyczna jest budująca — a rozsądek i umiejętność rozwiązywania konfliktów zdumiewająca!

Śmietnik Saski

Oranżerja — ślicznie. Dalje i rabaty — cudo. Wystawa aquarjów świetnie. Fontanna — bezrobotna. Oszczędność. Ale dlaczego taki śmietnik?

Gdzie?

W kwiatowej Warszawie, w jej przejechanym przez żelazobramską asfaltową arterję sercu!

Przejdźcie się przez Ogród Saski w dnie normalne. W zwykle nawet bez trąbek i kuczek. Bądźcie sprawiedliwi, uznajcie, że na jesieni lecą liście ciągle, że nie można nastarczyć z ich grabieniem. A mimo to ma się wrażenie, że to nie... reprezentacyjne płuco Warszawy, lecz Saski świetnik. Brudno. Papierki. Harmider. Wieczny bazar. Wróble wystraszone milkną. Wrony żałobnie kiwają dziobami. Ma się wrażenie targu i licytacyjnego placu przed lombardem. Nietylko dlatego, że mniejszość, że gestykulują, że Bożenka przesyła Kiejstutkowi chałwę, porzucając tutkę nieakurat do śmietniczki. Nie, nietylko dlatego. Poprostu dla wszystkiego.

Nie pomogą dalje, rabaty, wspaniałe drzewa, oranżerja, spragniona fontanna — poprostu kurz i śmieć uwili sobie gniazdo w... sercu stolicy.

Lwy Alkazaru

Alkazar walczy. Garść obrońców wspaniałego historycznego zamku, broniąca się przez szereg tygodni przemagającym wielokrotnie siłom, odpiera ataki. lecz ulega założonym minom. Giną pod gruzami. Jeszcze parę dni temu proponowano im ocalenie życia za cenę kapitulacji. Młodzi chłopcy - kadeci, cywilni, przeciwnicy rządu wolą śmierć niż poddanie się. Honor wojenny postawili wyżej niż życie. Taką bohaterską postawę muszą i powinni docenić wszyscy bez względu na przekonania. Obrońcy Alkazaru stworzyli, w pojęciu świata dla poczucia godności ludzkiej, honoru nowe moralne Termopile. Giną wierni sztandarowi. Przynieśli zaszczyt korpusowi, który ich wychował. Gdy krwawe opary wojny domowej opadną — Hiszpanja, odradzająca swe życie, z dumą będzie patrzyła na złotą kartę odwagi i bohaterskiej godności Lwów z Alkazaru.

Strzały na wsi

W „I. K. C." ukazała się ciekawa, ale również tragiczna korespondencja z Miechowskiego. Poruszono w niej kwestję bezpieczeństwa tej okolicy. To tu, to tam od wieczora do rana rozlegają się strzały, to tu, to tam brzmią świstki alarmowe, ludność rozróżnia strzał karabinowy od rewolwerowego z wprawą żołnierzy na froncie — pierzyna, korzuch, lepszy przyodziewek — jak opisuje I. K. C. — to wszystko jest pożądanym łupem. Najuboższy gospodarz, fornal, wyrobnik drżą o swą świnię, kury, krowę. Ludzie budząc się rano z zadowoleniem stwierdzają, że przeszła noc i że żyją!

Tak jest nie na kresach odległych, ale niemal w centrum Polski!

Ale tak jest niestety nietylko w Miechowskim! Tak jest niemal wszędzie. Tego nie można tłomaczyć kryzysem, bo kradną nie bezrobotni, ale często właśnie gospodarze, albo zawodowi złodzieje wiejscy. Na nich niema prawie sposobu. Policja jest nieliczna, ma olbrzymie okręgi: 40-kilometrów na 4-ch, pięciu posterunkowych nie jest wyjątkiem. Zorganizowana jest w znaczeniu pościgowym, jak za króla ćwieczka. Dość powiedzieć, że w wielu punktach, (a może wszędzie) rowery są prywatną własnością posterunkowych. Pościg jest niemal zawsze spóźniony. A nawet o ile się uda kogoś dognać, to niemal zawsze świadkowie poprostu boją się i znany, zawodowy złodziej wychodzi obronną ręką.

Kradnącego w tramwaju, z przedpokoju, góry z bielizną w mieście pozna każdy. Na wsi, zeznając oko w oko z pół-bandytą, lub bandytą, świadek czuje jego mściwe, groźne spojrzenie. Przedsmak napaści, pożaru, pobicia ma on już w sali sądowej. Więc „nie wie", „nie pamięta", „nie jest pewien" — na tych przesłankach sądząc sędzia nie może skazać i przestępstwo tryumfuje i rozzuchwala się bezkarność.

Coś w tej procedurze trzeba zmienić. Trzeba zagwarantować oskarżonym maksimum obrony i sprawiedliwości, ale trzeba równie zapewnić świadkom możność zeznawania bez obaw. Trzeba umożliwić posterunkom policji szybkość komunikacyjną, trzeba w niektórych okolicach zorganizować konne patrole. Trzeba dać doświadczonym sędziom większą swobodę w stosunku do osobników, o których całe okolice wiedzą, że są złodziejami. Trud, noce bezsenne, obchody i narażanie się posterunkowych nie prowadzą do niczego, skoro przestępca wychodzi z sądu na wolność, bo ci, którzy posterunkowym wskazują nań i co go widzieli „przy pracy", w sądzie z naturalnej obawy milkną i tracą pamięć.

„Byle polska wieś spokojna"— dziś jest marzeniem utopisty. Spracowany rolnik, nie może być w nocy stróżem, wydajność jego pracy słabnie, a z nią i możliwości podatkowe.

Ciemności... aż do katastrofy

Na temat wad w konstrukcji tunelu kolejowego w Warszawie krążą różne wersje. Nie dajemy im wiary. Zresztą przy tego rodzaju robotach zawsze trzeba coś poprawiać.

Trzy ostatnie jednak katastrofy kolejowe nakazują nam czujność. Dotąd wiele lat absolutnego bezpieczeństwa zepsuło nas, byliśmy spokojni. Niepożądana serja nakazuje jednak uwagę. Dlatego to, po raz wtóry, wracamy do sprawy panujących ciemności w pociągach podmiejskich. Przejazd przez tunel bez światła praktykuje się w olbrzymiej ilości pociągów. Umożliwia to kradzieże, zatargi. Ale gorzej jest, iż czasami pociągi stają w tunelu, duszność, tłok, ciemność choćby panowały 2 — 3 minuty mogą wystarczyć czasem do powstania paniki. Ludzie tratowali się i tracili głowy w jasny dzień w kościołach, może to się tym łatwiej wydarzyć w tunelu. A niechby — nie daj Boże — tam właśnie stała się mała katastrofa. Strach pomyśleć!

Czy istotnie oświetlenie pociągów podmiejskich jest takim szkopułem i trudnością, że musi ta ciemność trwać, aż do ewentualnego wypadku? Bo po jednym wypadku światła zapewne były nakazane. Ale czy koniecznie, trzeba aż ostateczności? Stawiamy to pytanie, w trosce o liczne rzesze jeżdżących codziennie do pracy warszawian. Bezpieczeństwo ich nie wątpliwie leży na sercu naszym wyższym władzom kolejowym więc...?

Więc powtarzamy pytanie — czy muszą być ciemności i nieoświetlone wagony, aż do... elektryfikacji lub katastrofy?

Tramwajowa choroba

Jest morska, dlaczego nie ma być tramwajowej. Tembardziej, że są pokrewne. Tramwaj przez Aleje Ujazdowskie, wieczór, pusto, spieszy się. Skacze, tańczy na szynach, zatacza się, rzuca publiczność o ściany i o siebie. Jakaś pani chwyta za chusteczkę. Oj, niedobrze. Starszy jegomość spada, jak sęp na pensjonarkę. Konduktorowi torba z drobnemi odbija wątrobę — a on nic. Hulajnoga mniej wnętrzności ożywia, niż wóz powiedzmy nr. 89 — a może 91, a może jeszcze inny. Mniejsza o numer, dość, że trzęsie, szamocze skandalicznie. Takich wozów jest kilkadziesiąt.

„Na miłość Boską — panie motorniczy, kurs morski pan prowadzisz? Frontem do morza dobrze — ale Alejami do Rygi przesada".

— Milcz pan, to powiem — odpowiada grzecznie. — Oszczędność widzi pan, tabor się odnawia minimalnie. Smary drogie. Łożyska wytarte, wagony stare — nic dziwnego, że szarpie, huśta, buja! Co zarobimy my — łata budżet ogólny, a nam minimum na inwestycje motorowe przydziela się więc trzeba i starszymi gruchotami, po mieście bujać".

Oj bujają! Rzeczywiście bujają!

Ale Rygę do „Alej" zbliżają i to bez dewiz, bez wiz!

Rozczarowanie

Dwaj przyjaciele raczyli się trunkami w barze. Przystojna kelnerka wyraźnie robiła oko do jednego z nich. W pewnej chwili ten drugi wyszedł z sali kupić sobie gazetę.

„Panie, może pan skorzystać z jego nieobecności" — słodko mówi dziewczę, przysuwając się do klijenta.

„Racja, taka okazja nieprędko się powtórzy" — odpowiada gbur, i... jednym haustem wychyla pozostawiony przez przyjaciela kieliszek.

Solidarność

Jak donoszą pisma codzienne, z Odesy odpłynął na pomoc komunistom hiszpańskim statek z 2000 t. żywności. Do Barcelony przybyło już 200 samolotów sowieckich z obsługą, oraz szereg samochodów pancernych. Samolotami również dostarczono czerwonej armji hiszpańskiej 7000 karabinów maszynowych.

Hiszpanja zdobywa przemocą dla idei sowietów...

A w Alkazarze młodzi, bohaterscy hiszpanie bronią do ostatniej kropli krwi idei Hiszpanji dla hiszpanów.



W Palestynie toczą się walki między Arabami i Żydami. Jedyne pewne miejsce gdzie spokój jest niezakłócony to gmach naszej P. K. O.

CZY PANI WIE, ŻE...

... można zwalczać ukazywanie się zmarszczek. Przygotować trzeba w tym celu tak zwany **„lait virginal“** w sposób następujący: wlewać powoli, kroplami, 5 gramów tynktury benzoesowej, do butelki, zawierającej 200 gram. wody różanej. Zwilżać tym płynem (na wacie) codziennie te miejsca, gdzie zmarszczki ukazują się najpierw: w kącikach ust, koło oczu, na czole.

■

... oczy są nietylko „zwierciadłem duszy“. A dobry wzrok jest niezbędny zarówno w pracy, jak w próżniactwie. Dlatego odpowiadam tu na pytanie pani H. R. z Kieleckiego, chciałabym bowiem poradzić pani na to osłabienie wzroku przy czytaniu. Naturalnie dobrze dobrane szkła i wizyta u lekarza są konieczne. Ale ponieważ pani pisze, że narazie jest to ze względu na odległość niemożliwe, a polecanych przezemnie w jednym z poprzednich numerów „Świata“ okładów z ziela świetlika lekarskiego nie może pani dostać na miejscu — zapytuje pani, czy możnaby świetlik zastąpi jakiemi innemi ziołami — i wymienia pani wszystko, co wogóle rośnie w jej ogródku. „Może znajdzie się wśród tych roślin jakie lekarstwo? — chociaż naprawdę nie mogę tego oczekiwać“ — pisze pani.

Otóż wbrew pani oczekiwaniom — ma pani właśnie w ogrodzie bardzo skuteczne zioła na wzmocnienie wzroku — mianowicie owe ślicznie pomarańczowo kwitnące **nagietki.** Poczciwy ten kwiatek, łatwy do wyhodowania, nadzwyczaj dekoracyjny i wytrzymały — ma też szerokie zastosowanie w ludowem lecznictwie ziołowem. Na osłabione oczy, skłonne do ropienia i łzawienia, stosować trzeba codziennie napar z kwiatów i liści nagietka. Dobrą garść kwiatów i liści zalać dwiema szklankami gotującej wody, trzymać pod przykryciem na wolnym ogniu, aby się gotowało, przez dziesięć minut. Poczem przecedzić, wystudzić zupełnie i zimny płyn przykładać na oczy na wacie, tak jak napar świetlika, o którym, poprzednio pisałam.

Oczy pod takimi kompresami przedziwnie odpoczywają, łzawienie mija, a środek ten stosowany stale sprzyja utrzymaniu zarówno urody jak zdrowia oczu. Bardzo radzę spróbować tak niewinnego okładu.

■

...egzotyczne ciasteczka wschodnie, zwane „Aman-Taschen“ przyrządza się według oryginalnego przepisu tak: zemleć na maszynce sto orzechów włoskich. Do rondelka włożyć dwieście gram miodu, łyżeczkę sproszkowanego cynamonu i zmielone orzechy. Postawić na pół godziny na bardzo słabym ogniu, nieustannie mieszając.

Oddzielnie przygotować ciasto, zrobione z 1 kila mąki, ośmiu jaj, szklanki najlepszej oliwy i stu pięćdziesięciu gram, cukru-pudru. Wyrobić ciasto doskonale, rozwałkować na desce. Powycinać z ciasta małe trójkąty, na środku każdego z nich położyć trochę przygotowanego nadzienia orzechowego. Połączyć trzy rogi trójkąta, posmarować każde ciastko żółtkiem i wstawić na kwadrans do gorącego pieca.

Ciastka te są korzenne, słodkie i bardzo charakterystyczne dla kuchni wschodniej. Warto spróbować na odmianę czegoś zupełnie inaczej smakującego, niż nasze wieczne kruche ciasteczka.

■

... nawet przy pracy fizycznej można mieć dobrze utrzymane ręce. Trzeba tylko koniecznie do sprzątania posiadać dwie pary rękawiczek: jedne, gumowe cienkie, takie jakich używają lekarze, nakładać pani będzie do każdej pracy, przy której ręce narażone są na zetknięcie **z płynami.** Zmywanie talerzy, mycie okien, szorowanie wanny — wszystko to można robić samej bez zniszczenia rąk — ale tylko w gumowych rękawiczkach. Druga para będzie potrzebna do roboty „suchej“ — i ta powinna być z białego zamszu, aby się łatwo prała. Musi być bardzo obszerna—najlepiej się do tego nadają rękawiczki męskie. Ochroni pani niemi skórę rąk od pękania, od zaczerwienienia, od zetknięcia z gorącem pieca, z kurzem, węglem, etc.

Oprócz tych rękawiczek używać pani powinna stale przynajmniej tego najprostszego środka udelikatniającego, jakim jest gliceryna. Używać jej tak: umyć ręce dokładnie mydłem, spłukać. Namydlić powtórnie, i nie spłukując nalać na dłoń gliceryny, wetrzeć w ręce takim ruchem jak przy mydleniu. Nie spłukując — wytrzeć ręcznikiem do sucha. Ręce nabiorą niezwy-

klej gładkości, a przyznać trzeba, że kłopot i koszt jest naprawdę niewielki...

■

... jajecznica po hiszpańsku jest smaczną regjonalną potrawą, którą warto wyprobować pomimo makabrycznych reminiscencji, z jakiemi łączy się dziś dla świata sama nazwa Hiszpanji.

Ugotować półtorej szklanki ryżu, ostudzić, włożyć dobrą łyżkę masła, podgrzać razem i trzymać w cieple. Oddzielnie przygotować kilo pomidorów, z których obciąć skórkę, pokrajać je w kostkę (usunąwszy pestki) — i rzucić na rozgrzaną oliwę (w ilości dwuch łyżek stołowych). Dodać do pomidorów dwa tureckie pieprze zielone, pokrajane w kostkę, oraz soli i pieprzu do smaku. Dusić to na wolnym ogniu przez godzinę, potem zmieszać z ryżem i razem grzać jeszcze kwadrans. Ułożyć tę masę wieńcem na półmisku, a środek zapełnić jajecznicą.

■

... odświeżyć wełnianą suknię można samej w domu. Po powrocie z lata okazało się napewno, że te suknie, które miałyśmy ze sobą na wakacjach, są nieco poplamione, te zaś, które zostały w domu, także potrzebują odświeżenia. Jeżeli jest w domu kilka pań, a każda miałaby oddać choćby tylko trzy suknie do odświeżenia — wyniesie to odrazu kilkadziesiąt złotych, które można bardzo łatwo oszczędzić.

Przygotować na miednicy 3 litry wody letniej, wlać do niej 5 deka amoniaku i dokładnie wymieszać. Rozłożyć suknię na stole, a jeszcze lepiej na desce do prasowania, i, jak to się mówi „raz koło razu" czyścić tkaninę miękką gąbką, umaczaną w owej wodzie. Poczem natychmiast spłukiwać tym samym systemem, t.j. gąbką, ale umaczaną w wodzie **zimnej z octem.** (Na 2 litry wody trzy łyżki octu). Oczyszczoną w ten sposób suknię pozostawić na desce do wyschnięcia, potem prasować przez wilgotne płótno.

■

... rdzy na bieliźnie nie należy zostawiać, bo po paru praniach wypadnie dziura. Najlepiej wywabić plamę rdzawą zapomocą soku cytrynowego. Wycisnąć całą cytrynę, przecedzić, rozgrzać na łyżce sok nad ogniem, i zanurzać rdzawą plamę w tym soku. Starannie po każdem zanurzeniu wyciskać palcami, jakby piorąc. Potem spłukać dokładnie zimną wodą.

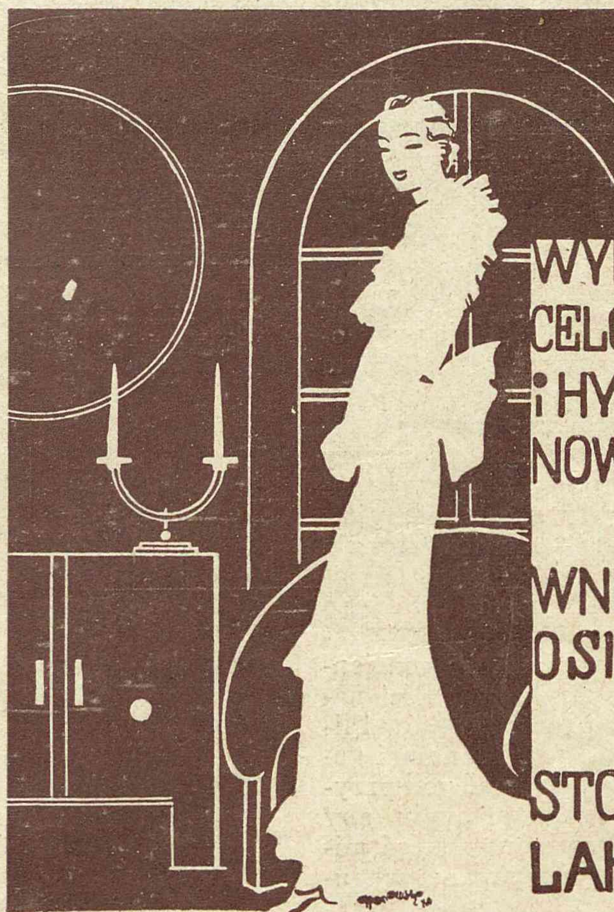
■

... dywany o jasnych kolorach najładniej czyszczą się trocinami, zwilżonemi benzyną. Cały dywan dokładnie natrzeć za pomocą szczotki. Przedtem naturalnie dywan musi być doskonale wytrzepany albo odkurzony elektrycznie.

■

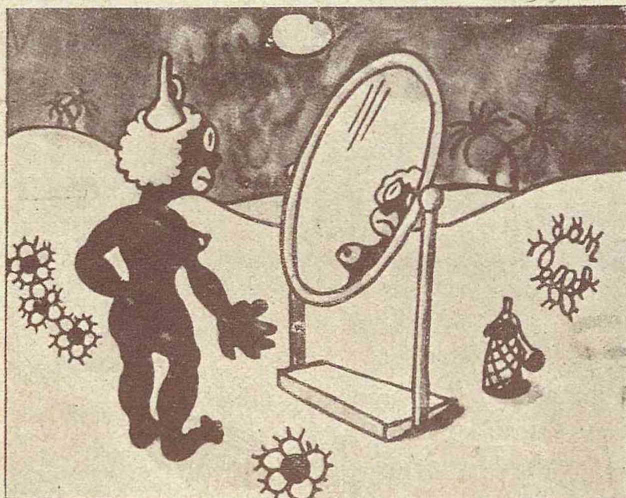
... można na poczekaniu sklarować kawę w imbryczku, wrzucając kawałek cukru albo pół łyżeczki cukru miałkiego. Fusy natychmiast idą na dno. Jeżeli ktoś pija kawę bez cukru, sklarować można jedną kroplą wody zimnej wlanej we wrzącą i odstawioną kawę.

Dam Pikowa.



„PIĘKNA PANI" W OCZACH HUMORYSTÓW

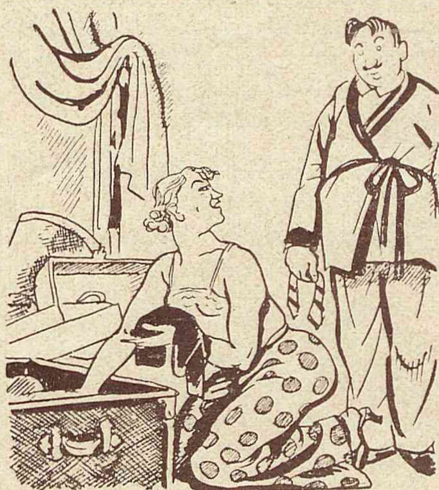
KOKIETERJA



— Nie — z tym kwiatem pomarańczowym zanadto wyglądam na dziewicę. Ale znów z tym liściem kokosowym — zanadto na kokotę...

(Marianne)

GEOGRAFJA



— Jakto — pakujesz trykot kąpielowy, jadąc do Chamonix?

— Dobre sobie! Czyż nie wybieram się na Mer de Glace?

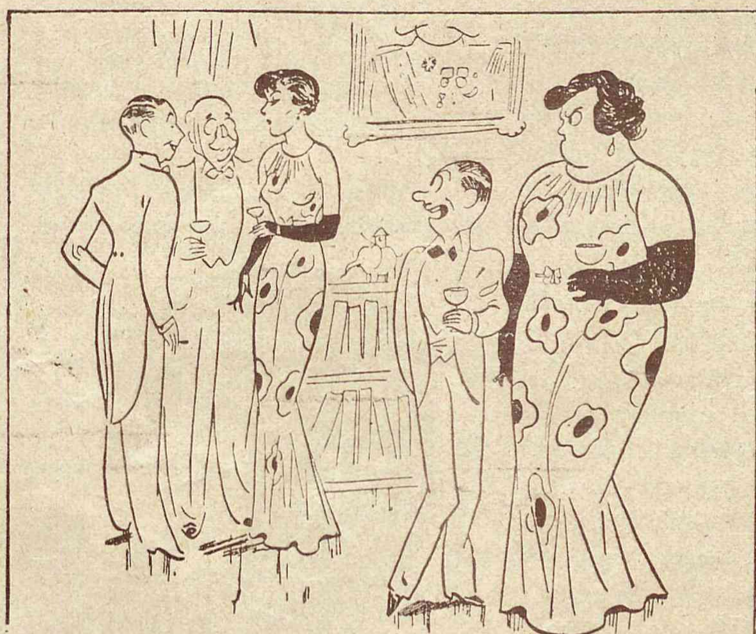
(Candide)



— Patrz! „Rouge et Noir" — to będzie ciekawe: napewno wskazówki racjonalnego maquillage'u.

(Candide)

ZNAWCA



— Patrz, Emilko, taką suknię powinnabyś sobie sprawić...

(Candide)

M. Zoszczenko.

MONTER

OPOWIADANIE

Ja tam, bracia moi, nie będę się bez potrzeby spierał, kto w teatrze ważniejszy — aktor, reżyser czy może stolarz. Fakty pokażą. Fakty zawsze mówią za siebie.

Poniższa historja miała miejsce w Garstowie albo w Symbirsku, jednem słowem gdzieś niedaleko Turkiestanu, w miejskim teatrze.

Grali w tym miejskim teatrze operę. Prócz aktorów wykonawców był tam jeszcze i monter, Iwan Kuźmicz Młakijszew.

Kiedy w 29-tym roku zdejmowali cały teatr w grupie aparatem fotograficznym na karteczkę, montera wepchnięto gdzieś z boku — jako personel techniczny. A w centrum, na krześle z oparciem posadzili tenora.

Iwan Kuźmicz Młakijszew nic na to chamstwo nie powiedział, zanotował sobie tylko w pamięci i zcicha zaklął.

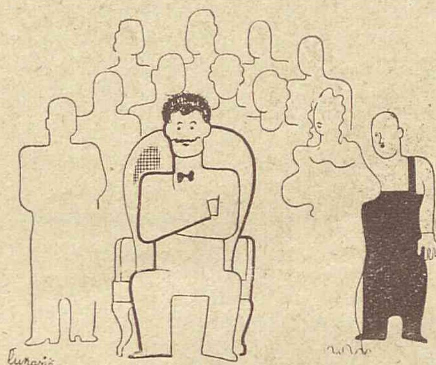
Wkońcu wybiła i jego godzina. Jakby dziś naprzykład grają „Rusłana i Ludmiłę" z muzyką Glinki. Dyryguje maestro Kacman.

O godzinie ósmej bez piętnastu minut przychodzą do naszego montera dwie znajome panienki.

Dotychczas niewiadomo, czy to on je wcześniej zaprosił, czy też same się zjawiły, dość, że przyszły. Przychodzą więc te panienki i z miejsca zaczynają flirtować, uśmiechać się, przymilać, żeby je posadzić na widowni. Chcą niby popatrzeć na przedstawienie.

— Mesdames, powiada Młakijszew, posiedźcie tutaj trochę przy tej budce, a ja wam zaraz parę biletów ściągnę..

I sam naturalnie do zarządzającego. — Zarządzający mówi:— Dzisiaj zdaje się sobota. Narodu przepaść. Każde krzesło zajęte. Nie mogę.



Monter powiada: — Ach! tak, mówi. No, to ja gry odmawiam. Odmawiam, jednem słowem, oświetlenia waszego przedsiębiorstwa. Grajcie beze mnie! Zobaczymy wtedy, kto z nas ważniejszy i kogo ustawiać z boku, a kogo w centrum sadzać.

I wali prosto do budki. Wyłączył do czarciej babki w całym teatrze światło, zamknął na wszystkie klucze budkę i siedzi— zawzięcie flirtuje.

Wtedy się dopiero zrobił bigos.

Zarządzający biega. Publika ryczy. Kasjer piszczy. Lęka się, by mu pociemku pieniędzy nie rozdrapali. A główny operowy tenor, bandyta, przyzwyczajony zawsze siedzieć w centrum, wpada do dyrekcji i ryczy swoim tenorem:

— Ja, powiada, w ciemnościach śpiewać tenorem odmawiam. Raz, mówi, ciemno, to ja wychodzę. Mnie, mówi, głos droższy niż wszystko. Niech, sukin syn, monter śpiewa.

Monter mówi: — Niech nie śpiewa. Napluć jemu w mordę. Raz on w centrum się zawsze ustawia, to i niech jedną ręką śpiewa, a drugą światło zapala. Kanalja jakaś się znalazła.

Tutaj, naturalnie, zmierzył się z tenorem wzrokiem.

Wtem zjawia się zarządzający i mówi:

— Gdzie te czortowskie dwie panny? Przez nie mamy zupełną stratę. Zaraz ja je gdzieściś wsadzę, — krowa by je pobodła!

Monter powiada:

— Oto one, czortowe panny. Tylko — nie przez nie strata, a przeze mnie. Zaraz, mówi, dam światło. Mnie poprawdzie energji nie żal.

I zaraz dał światło.

— I zaczynajcie, mówi.

Sadzają wtedy te jego panny na najlepszych miejscach i zaczynają przedstawienie.

Wytłumaczcie mi teraz sami, kto ważniejszy, w tym skomplikowanym teatralnym mechaniźmie.

tłum. *Włodzimierz Łukasik*



FERALNA TRZYNASTKA

— Nie, nie, droga Kitty! — powiedział Bush, uderzając w stół zaciśniętą pięścią — jeżeli z tą robotą jest związana trzynastka, to żadna siła nie zmusi mnie do tego, żebym miał się jej podjąć!

— No, dobrze, Bushie, nie gniewaj się przecież! — odpowiedziała Kitty, kręcąc w zamyśleniu głową. Wiesz sam, że gospodyni należy się już za dwa miesiące i ta stara ropucha codziennie mi robi awantury, grożąc, że nam wystawi graty na ulicę... Rozumiesz chyba, że pieniądze są nam potrzebne teraz bardziej, niż kiedykolwiek...

Bush potarł podbródek w zamyśleniu. Tak, to prawda, Kitty miała słuszność, ale cóż można zdziałać przeciw sile wyższej?

Bush Muggins był doświadczonym włamywaczem i potrafił niejednokrotnie zdobyć się na nader śmiałe wyczyny. Posiadał zato jedną wielką przywarę: był niesłychanie przesądny; stłuczone lustro, czarny kot, wywrócona na lewą stronę pończocha, — każde z tych pechowych akcesorjów wystarczyło, by wtrącić Busha Mugginsa w otchłań smutku i zwątpienia. Szczególnym lękiem napawała go trzynastka. Unikał jej, jak ognia lub moru. Żadnej z wypraw nie podejmował w piątek, ani trzynastego dnia w miesiącu. Posiadał już bogatą przeszłość, znaczoną rozbitemi kasami i listami gończemi policji całej, zdaje się, Europy.

— Ależ Bushie, ta robota niema nic wspólnego z trzynastką! Zapewniam cię...

— To dlaczego mi nie mówisz? Tak trzeba było odrazu gadać! Więc...

— Posłuchaj, Bushie... Przy rogu 73 Avenue mieszka jeden siedemdziesięcioletni gruchot, który ma konto w West-Banku. Ten stary..

— Zaczekaj chwilę, Kitty! Powiadasz, 73 Avenue.? Zaraz: 7 i 3 to 10. W porządku, gadaj dalej!

— ...ten stary piernik podjął dla swej siostrzenicy — no, dlaczego nie uważasz — podjął wczoraj siedem tysięcy dolarów w banknotach, rozumiesz?!

— Chwileczkę, Kitty! Na którem piętrze mieszka ten facet?...

— Na czwartem piętrze, w frontowej klatce schodowej...

— W porządku! Powiadasz, że siedem tysięcy... siedem i cztery to jedenaście. Jedź dalej...

Te dolary zostaną jutro przekazane tej siostrzenicy. Zgłosi się do starego albo ona sama, albo jej adwokat... Jutro o jedenastej przed południem. Myślę, że to najwyższy czas, żeby tego starego jaknajszybciej obrobić... Szkoda chwili tracić...

— Jak się ten stary nazywa?

— Ben Green.

— Ben Green, mówisz? Zaraz, zaraz: Ben — trzy, Green — pięć, razem — osiem. Dobra jest! Idę po dolary! Sprawa wygląda zupełnie łatwo. Jeszcze moment: którego dziś mamy?

— Czternastego sierpnia, środa.

— Doskonale! Daj pyszczka, Kitty! Będę za godzinę...

■

Dokładnie po dwuch godzinach Bush Muggins siedział w areszcie.

Psiakrew! i wszystko poszło tak ślicznie! Wszedł na czwarte piętro, otworzył drzwi bez trudu i cicho wszedł do sypialni Ben Greena; stary leżał w łóżku i przeląkł się nawet, kiedy poczuł przy skroni zimną stal rewolweru i usłyszał głos:

— Prędko staruszku, daj forsę! Tylko spokojniutko, bo kulka w łepetynkę! Bush lubił przemawiać zdrobniale. Wogóle był delikatny: dał staremu raz w ciemię rękojeścią rewolweru, żeby leżał spokojnie i nie śpiesząc się, wolno opuścił mieszkanie. A w niecałe dwie godziny później znalazł się w komisarjacie. Naprawdę nie umiał sobie tego wszystkiego wytłumaczyć: nawet wachmistrz Murphy, który go aresztował, ten stary Murphy z dwunastki, o twarzy poczciwego mopsa, ma przecie numer 2362, co w sumie też nie stanowi trzynastu... Nie, naprawdę nie pojmował nic!...

■

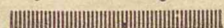
Przy rogu 73 Avenue i Hillman-Place gromadka reporterów otoczyła młodego chłopca, który, żywo gestykulując, mówił:

Nic dziwnego, moi panowie, że jak zobaczyłem przez okno sąsiedniej klatki schodowej człowieka o mocno podejrzanym wyglądzie, idącego na czwarte piętro, gdzie mieszka tylko jeden pan Green, odrazu sobie pomyślałem, że to musi być jakaś nieczysta sprawa. W dodatku, kiedy zobaczyłem, że ten człowiek sięga do tylnej kieszeni, jakby chciał sprawdzić, czy ma rewolwer. Zbiegłem wtedy na dół i zameldowałem o tem Murphy'emu...

— Spryciarz z ciebie, mój mały! — powiedział jeden z reporterów. — A ile ty masz lat? — może mi pan powinszować — odpowiedział z dumą chłopiec — dziś są moje urodziny. Skończyłem właśnie trzynasty rok...

Tłum. *M. O.*







Jack Oakie — Znakomity aktor charakterystyczny, który niejednokrotnie w rolach podrzędnych przyczyniał się do powodzenia filmów, otrzymał jedną z czołowych ról w filmie „Walc Szampański".

Fot. Paramount.

„Zemsta" — „Pan Jowjalski" — „Śluby panieńskie"

Arcydzieła polskiej literatury komedjowej na ekranie!

Dokonanie transpozycji filmowej nieśmiertelnych arcydzieł polskiej literatury komedjowej: „Zemsty", „Pana Jowjalskiego" i „Ślubów Panieńskich" musi każdy nazwać śmiałem zamierzeniem.

Wytwórnia „Libkow-film" zakupiła prawa dokonania przeróbki filmowej tych, bodajże najcenniejszych polskich utworów komedjowych. Pod kierownictwem reżysera Gardana rozpoczęto już prace przygotowawcze do realizacji „Zemsty". Wszystkie role w tym filmie zostaną obsadzone przez artystów polskiej sceny.

Zapowiedź realizacji filmowej komedyj Fredry wywołała w polskich sferach filmowych wielkie zainteresowanie.

REDAKCJA i ADMINISTRACJA: Warszawa, ul. Szpitalna 12. Telefon 5-04-00. Konto w P.K.O. Nr. 3755

Administracja otwarta codziennie, z wyjątkiem świąt i niedziel od godziny 11 do 3 pp.

Redakcja od godziny 11 — 2 pp. Redaktor naczelny przyjmuje w czwartki od godz. 11 — 1 pp., tylko po uprzedniem telefonicznem porozumieniu z sekretarjatem. Telefon 2-10-87. **Rękopisów niezamówionych redakcja nie zwraca**



Zdjęcie z filmu „Moja amerykańska żona". Film odznacza się szczerym dowcipem i jest subtelną satyrą na stosunki amerykańskie. Role główne odtwarzają: Francis Lederer, Ann Sothern i Fred Stone. *Fot. Paramount.*

„Trędowata" **Capitol**

Polscy scenarzyści nie lubią się przepracowywać. Większość filmów z ostatniego i bieżącego sezonu powstało jako transpozycje kinowe powieści znanych i uznanych autorów. Szczęśliwie pozostawiono narazie w spokoju Żeromskiego i innych luminarzy naszej literatury. Zadowolono się sentymentalną powieścią Mniszkówny. Przesadna czułostkowość, melodramatyczne roztkliwianie się nad dolą Stefci Rudeckiej po raz drugi przedostało się z kart powieści dla zhisteryzowanych panienek na ekran.

Przedsięwzięcie łatwe do zrealizowania i przynoszące niewątpliwie zyski. „Trędowata" będzie — według wszelkiego prawdopodobieństwa — obrazem wybitnie kasowym.

W okresie pojawienia się pierwszego wydania „Trędowatej" — mniej więcej przed dwudziestu laty — tak zwane „panienki z dobrego domu" w rozmowach o „literaturze" zarzekały się, że za nic w świecie czegoś podobnego nie przeczytają. „Takie powieścidło!" Czy czytały? Jedyny egzemplarz „Trędowatej" był w nieustannym obiegu. Po zapuchniętych od płaczu oczach można było poznać, która z namiętnych przeciwniczek roztkliwiała się w ukryciu nad bohaterką pogardzonej miłości.

Obraz więc prawdopodobnie „chwyci". Nie można odmówić filmowi „Sfinksa" pewnych zalet. Zrobiony jest dosyć starannie, upiększony szeregiem znakomitych zdjęć plenerowych, artystycznemi krajobrazami, urozmaicony stawkami o zacięciu komedjowem. Pewnych rozwlekłości i dłużyzn możnaby z powodzeniem uniknąć, ale tempo jest naogół odpowiednie.

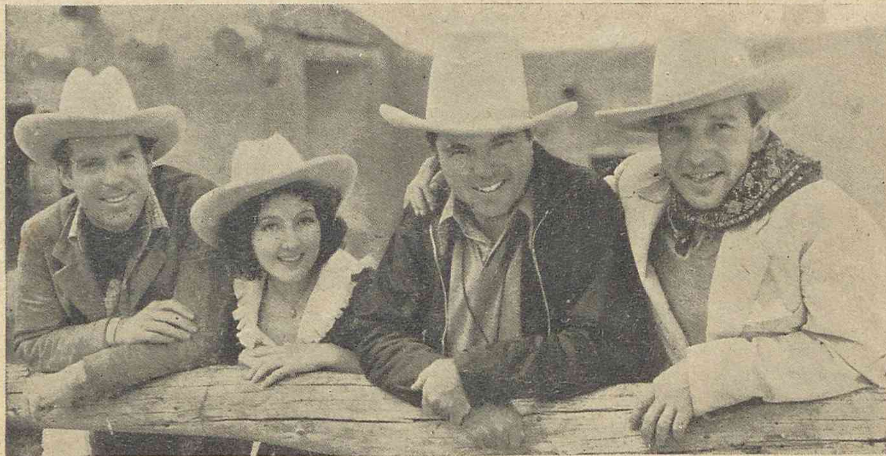
Film cechuje znakomita obsada ról dalszoplanowych. Ćwiklińska zachwyciła ogromnym talentem, olśniła niezaprzeczonym wdziękiem, niekłamaną szczerością i świetną interpretacją roli. Junosza - Stępowski, jako stary hrabia Michorowski dał świetną postać wyrozumiałego i steranego życiem szlachetnego dziadka. Stanisława Wysocka miała majestat i godność starej księżny Podhoreckiej. Krótką swą rolę wyniosłej matrony odtworzyła kapitalnie. Węgrzyn, Halska i wielu innych, starzy znajomi ze stołecznych scen odznaczali się trafnem ujęciem roli i staranną charakterystyką.

Duży zawód sprawili natomiast główni bohaterowie. Nie można ich jednak bardzo winić. Odpowiedzialność ponosi reżyser, który nie potrafił wskazać im właściwej drogi w grze przed objektywem. Elżbieta Barszczewska i Franciszek Brodniewicz starali się bardzo — może nawet za bardzo. W grze ich znać było przymus, nieszczerość, pozę i fałszywy patos. Nieumiejętnie pro-

wadzeni przez reżysera zatracili właściwą linję, zagubili prostotę i bezpośredniość odczuwania, wspięli się na koturny i z ponurym tragizmem dali się ponieść nieokiełznanemu sentymentalizmowi Mniszkówny. Stylowa sylwetka Barszczewskiej traciła ogromnie przy wszystkich zbliżeniach i zwolnieniach, których nam nie szczędzono. Przeciąganie i rozwlekanie scen dramatycznych wywoływało wrażenie jakiegoś fałszu. Brodniewicz również czuł się nieswojo z ciężarem tytułu na barkach. Był zbyt sztywny, zbyt przejęty rolą ordynata, zbyt daleki od rzeczywistości.

Mimo tych niewątpliwych braków sentymentalne panienki rozrzewniać się będą w dalszym ciągu tragicznemi losami nieszczęśliwej Stefci, zalewając się łzami w licznych, wzruszających momentach.

J.



Po ukończeniu zdjęć plenerowych do filmu „The Texas Rangers", okoliczni farmerzy ofiarowali reżyserowi Kingowi Vidorowi cztery kapelusze, jakie zwykli nosić rancerzy w Texasie. Vidor ofiarował trzy z nich wykonawcom ról głównych w tym filmie: Fredowi MacMurrayowi, Jean Parker i Lloydowi Nolanowi. *Fot. Paramount.*

„Fredek uszczęśliwia świat"

„Casino"

Debiut młodego reżysera, p. Z. Ziembińskiego zaliczyć można do udanych. Mimo istnienia w realizowanym filmie wielu braków i niekonsekwencyj, akcja toczy się wartko i składnie.

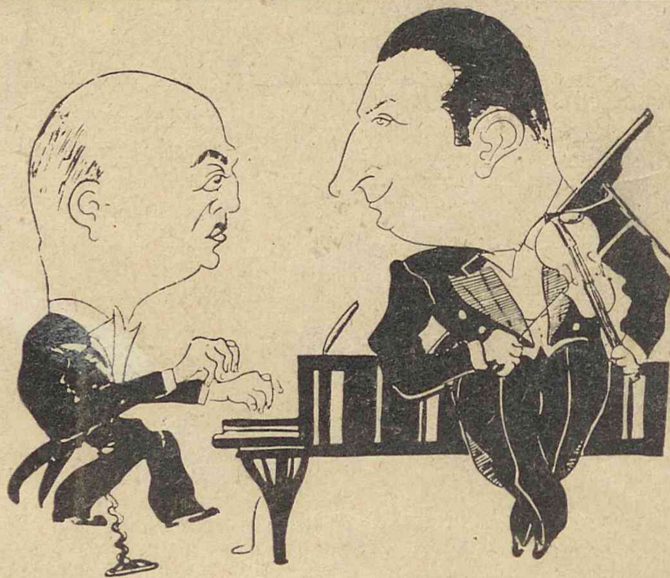
Braki powstały głównie wskutek banalnego scenarjusza i słabej gry niektórych wykonawców. Wystawa mierna, a nawet chwilami wprost irytująca nie przyczynia się do przychylnego ustosunkowania się recenzenta do całości, wyróżniającej się ujemnie dziwnem ubóstwem treści.

Do szczęśliwych momentów zaliczyć można taniec Lody Halamy, który oryginalnie skomponowany pod wyjątkowo dobrą muzykę, przemawia do widza i porusza go do głębi. Podobnej ekspresji gestu nie spotyka się często. Ale poco Halama śpiewa? Jej głos to stanowczo duża pomyłka.

Przechodząc do omówienia gry poszczególnych aktorów, musimy z przyjemnością skonstatować, że filmowi polskiemu przybył nowy pierwszorzędny aktor komedjowy — J. Kondrat z wielkim zasobem „vis comica". Jerzy Czaplicki pięknie śpiewał, K. Lubieńska jak zawsze szczera, bezpośrednia i naturalna, A. Żeliska zbyt szarżuje, Fertner — doskonały, każdy ruch, każdy gest to wprost małe arcydzieła sztuki aktorskiej. Lekkiem nieporozumieniem była osoba Z. Rakowieckiego, który nie wiedział, co ze sobą począć, a sztuczność jego razić mogła nawet największego laika. Wesołowski, Orwid i inn. spełnili swoje zadanie. Sądząc z licznych oklasków na widowni, film będzie miał powodzenie.

Nadprogram dwie groteski rysunkowe i dodatek PAT-a.

J.



Artur Gold i Jerzy Petersburski kompozytorzy grają w dancingu Paradis w Warszawie

REDAKTOR: L. CHRZANOWSKI. Wydawca: „ŚWIAT" Spółka Wydawnicza z o. o. Druk „Polska Zjednoczona", Warszawa